

Z ŁEMKOWSKIEJ SKRZYNKI



NICA POŁO

część druga

Opowieści z Brzozy i okolic

Z ŁEMKOWSKIEJ SKRZYNI część II

**Część druga
Opowieści z Brzozy i okolic**

**[http://
lemko.org](http://lemko.org)**

 Digitally signed by <http://lemko.org>
DN: cn=<http://lemko.org>, o=Walter
Maksimovich, ou,
email=walter@lemko.org, c=US
Date: 2012.12.22 22:11:27 -05'00'

Redakcja: Magdalena Szyszko-Graban
Agnieszka Szyszko
Anna Rydzanicz
ks. Artur Graban
Łamanie, korekta oraz opracowanie graficzne:
„Nasza Zahoroda”
Projekt okładki i rozdziałów: Dawid Kwoka

Zbierający wywiady:
Magdalena Czyrniańska, Olga Czyrniańska, Marta Gluz,
Dariusz Grabka, Natalia Kuszvara, Grzegorz Marciniśzyn,
Michał Matuszek, Olga Merena, Magdalena Pelechacz,
Anna Rydzanicz, Anna Sywiec, Katarzyna Tokarek,
Daria Tutko, Grzegorz Tutko, Marek Tutko.

Książka ukazała się dzięki finansowemu wsparciu:

Fundacji Wspomagania Wsi („Pożyteczne ferie”)
Polskiej Fundacji Dzieci i Młodzieży („Równać Szanse”)
Ministerstwa Kultury



© Copyright by Wydawnictwo Lemko-Tower

Wydawca:
Stowarzyszenie Miłośników Kultury Łemkowskiej
Strzelce Krajeńskie '2004
www.lemko-tower.prv.pl

ISBN 83-910742-9-3

WSTĘP

Z *Łemkowskiej skrzyni* to cykl opowieści trzech pokoleń Łemków, którym przyszło żyć z dala od ich ukochanej Łemkowyny. Podobnie, jak w pierwszej części, książka jest efektem warsztatów dziennikarskich młodzieży z parafii prawosławnej pw. św. Michała Archaniola w Brzozie w powiecie strzelecko-drezdeneckim. To one przeprowadzając wywiady wśród pokolenia ich dziadków, rodziców i swoich rówieśników zebrały materiały potrzebne do tej książki. Przemierzyły wiele kilometrów odwiedzając kilkadziesiąt domów. Były w Brzozie, Strzelcach Krajeńskich, Przyłęgu, Wełminie, Różankach, Dobiegniewie, Zdroisku, Górkach Noteckich i Gorzowie Wielkopolskim. Zebrane wywiady, stare zdjęcia, dokumenty, a także drzewa genealogiczne w naturalny sposób przyczyniły się do powstania drugiej części cyklu pt. *Opowieści z Brzozy i okolic*. Wzorem poprzednich *Opowieści z Ługów i okolic* wspomnienia te podzielono na trzy części: opowieści dziadków, rodziców i dzieci. Czwartą część książki stanowi *Stary album*.

Historie zawarte w *Opowieściach z Brzozy i okolic* są prawdziwe, opowiedziane żywym językiem, podobnie jak ich bohaterowie - autentyczne. Podpisane imieniem i nazwiskiem są nam znajome, niczym z sąsiedztwa. Zagłębiając się w lekturę tej książki wnikamy w dawny i obecny świat trzech pokoleń Łemków. Nostalgiczny, a zarazem bardzo pragmatyczny, bo życie, niezależnie od okoliczności, musiało toczyć się dalej.

Przekonanie, że tu zostanę, nastąpiło po przyzwyczajeniu się - wyznał jeden z bohaterów tej książki.

Witamy w świecie Ich Opowieści...

Zespół Redakcyjny

*

Dziś można śmiało powiedzieć, że Brzoza niewielka wieś w powiecie strzelecko-drezdeneckim, położona jest w centrum Europy. Stąd 65 kilometrów do granicy z Niemcami, bliżej do Berlina (120 km) niż do Warszawy (430). Jej historia jest ciekawa, podobnie jak historia tej części kontynentu. Tu od wieków ścierały się pierwiastki słowiańskie z germańskimi, o czym mówią porozrzucane dookoła kamienie, ślady kultury materialnej. Jeszcze na długo przed chrystianizacją okolice zamieszkiwali Słowianie. Pozostałą pamiątką po nich jest nazwa miejscowego jeziora usytuowanego w pałacowym parku - Slawische See.

Brzoza, a w zasadzie Bierholz została wpisana w 1357 roku do księgi ziemskiej margrabiego Ludwika Starszego. Wówczas wieś liczyła 95 łanów, co świadczy o znacznej wielkości, jak na tamte czasy. Jest to najstarszy zapis historyczny dotyczący wsi. Mijały wieki, Bierholz zmieniała właścicieli. Rodziły się i umierały w niej kolejne pokolenia poddanych. Następnym istotnym zapisem w kronikach historycznych jest rok 1659, kiedy to w czasie wojny trzydziestoletniej, pożar doszczętnie strawił wieś. Pozostały tylko mury miejscowego kościoła. Po odbudowie zmienił się jej obraz przestrzenny. Odbudowano i powiększono na potrzeby mieszkańców kościół. Powstał folwark z rozległym parkiem przylegającym do pałacu, którego właścicielami od 1756 roku do 1945 była rodzina von Steikellerów. W 1804 roku Bierholz liczyła 515 mieszkańców. Znajdowało się tu 12 gospodarstw chłopskich, 8 zagrodniczych, 1 rybackie, 52 chałupnicze i 1 kowalskie. Ponad dwieście lat później, spis z lat dwudziestych XX wieku podaje, że wieś posiadała 9 gospodarstw chłopskich o areale ponad 20 ha i mieszkało w niej 650 osób. Wydarzeniem, które wpłynęło na nowy podział geopolityczny tych terenów był schyłek II wojny światowej. Wtedy też, po prawie dwóch wiekach posiadania, Bierholz opuścili von Steinkellerowie. Opuszczony pałac zajęli żołnierze radzieccy, którzy wyruszając na Berlin, nie omieszkali wysadzić go w powietrze. Po zakończeniu wojny, w 1945 roku wieś otrzymała nowy „życiorys”. Pierwotną nazwę Bierholz spolszczono na Brzozę i zaczęli się w niej osiedlać nowi mieszkańcy - obywatele z poznańskiego, repatrianci zza Bugu. Zespół folwarczny przekształcono na Państwowe Gospodarstwo Rolne, gdzie głównie znajdowali zatrudnienie nowo przybyli. W czerwcu 1947 roku wskutek akcji „Wisła” w Brzozie i okolicach zamieszkali Łemkowie, wysiedleni mieszkańcy wsi Beskidu Niskiego i Sądeckiego.

* *

Pierwotnie romańsko-gotycki kościół w Brzozie ufundowano sto kilkadziesiąt lat po chrystianizacji tych terenów przez Bolesława Krzywoustego i Ottona z Bambergu. Szacuje się, że powstał w drugiej połowie XIII lub na przełomie XIII i XIV wieku. Obronny charakter świątyni, o czym świadczą grube, zbudowane z ciosów kamiennych mury, pozwala przypuszczać, że zamieszkujący te ziemie Słowianie niełatwo pogodzili się z przyjęciem nowej wiary, oddając cześć swym pogańskim bóstwom. Być może to przed ich najazdami kościołowi

w Bierholz, byłej słowiańskiej osadzie, nadano taki właśnie charakter. Kiedy w XVI wieku te ziemie objęła reformacja, z katolickiego stał się na ponad cztery wieki kościołem ewangelickim. W 1751 roku ostatecznie przebudowano go, być może dopiero po pożarze w czasie wojny trzydziestoletniej. Ta data widnieje na chorągiewce wiatrowskazu z XVIII wieku. Bryle kościoła nadano nowy kształt dobudowując od strony zachodniej drewnianą wieżę zwieńczoną późnobarokową latarnią, północną zachrystię oraz doświetlając kościół oknami. Z dawnego, wczesnogotyckiego kościoła pozostały tylko częściowo ściany oraz dwie krypty. Od strony wschodniej pochowani są jego średniowieczni fundatorzy, o czym świadczy umieszczony na wysokości pół metra krzyż maltański. Natomiast od strony północnej pod zachrystią spoczywają członkowie rodziny von Steinkellerów.

Nie wiadomo jak wyglądało wnętrze kościoła przed jego przebudową. Po 1751 roku nadano mu późnobarokowy charakter, typowy dla świątyń ewangelickich. Na wschodniej ścianie prezbiterium wzniesiono ozdobiony kolumnami i ażurowym wieńcem liści akantu ołtarz z amboną pośrodku. Po prawej stronie znajdowała się drewniana i przeszklona ława kolatorska, nazywana szafą, przeznaczona dla wysokiej rangi duchownych i fundatorów kościoła. Nad wejściem do kościoła, od strony zachodniej zbudowano istniejącą do dziś emporę organową z niewielkimi organami. Na bocznych ścianach umieszczano epitafia z podobiznami zmarłych. Po pierwszej wojnie światowej na jednej ze ścian powieszono drewnianą tablicę z wymienionymi nazwiskami wszystkich poległych mieszkańców Bierholz w latach 1914-1918. Chociaż w czasie II wojny światowej kościół nie uległ zniszczeniu, to niszczał przez kilka lat po jej zakończeniu. Wierni wyznania ewangelickiego wyjechali do Niemiec. Natomiast duchowe potrzeby nowo przybyłych mieszkańców Brzozy spełniał odległy o trzy kilometry kościół rzymskokatolicki w Strzelcach Krajeńskich. Tym sposobem świątynia w Brzozie stała bezużyteczna. Jedynie dźwięk jej dzwonu oznajmiał pracownikom miejscowego PGR-u, że czas na przerwę w pracy. W 1952 roku ówczesne władze przekazały obiekt społeczności prawosławnej, którą w okolicy stanowili wysiedleni w ramach akcji „Wisła” Łemkowie. Były kościół katolicki, później ewangelicki stał się cerkwią prawosławną pw. św. Michała Archanioła. Inicjatorem powstania parafii prawosławnej w Brzozie był jej pierwszy proboszcz ks. Mikołaj Poleszczuk (1952-58). Parafianami byli głównie wierni wyznania zarówno prawosławnego jak i greckokatolickiego, dawnych mieszkańców Żduni, Śnietnicy, Regetowa, Brunar, Kunkowej,

Bartnego, Folusza i Krempnej, którzy chcieli mieć własną cerkiew. Ksiądz Poleszczuk odszedł w listopadzie 1958 roku. Przez kilka miesięcy w Brzozie proboszczem był ksiądz Chryzant Jaworski, a od listopada 1959 roku duszpasterskiej posługi w Brzozie i Ługach podjął się ksiądz Włodzimierz Kochan, Łemko z Florynki, któremu dane było przez czterdzieści lat być proboszczem wymienionych parafii.

W styczniu 1999 roku Arcybiskup Jeremiasz, ordynariusz diecezji wrocławsko-szczecińskiej skierował do Brzozy i Ługów nowo wyświęconego księdza Artura Grabana. Przed trzema laty w cerkwi w Brzozie postanowiono zmienić ikonostas. Wykonania ikon podjęli się absolwenci Studium Ikonograficznego w Bielsku Podlaskim. Prace, ze względu na duże koszty przedsięwzięcia są jeszcze w toku. W ubiegłym roku rozpoczęto prace nad regotyzacją świątyni. Ze ścian elewacji zbito zalegające od kilkudziesięciu lat tynki, aby przywrócić naturalną urodę jej murów. Obecnie parafia prawosławna pw. św. Michała Archanioła liczy sześćdziesiąt rodzin. Wierni skupieni w miejscowościach ziemi strzelecko-drezdeneckiej dojeżdżają do swojej cerkwi nawet czterdzieści kilometrów czynnie uczestnicząc w życiu parafii.



część pierwsza
Dziadkowie

Żydzi w Krempnej

Moja rodzina mieszkała do 1947 r. w Krempnej koło Jasła. We wsi mieszkali głównie Łemkowie, ale byli też Żydzi, Polacy i rodziny mieszane. Na początku były dwie żydowskie rodziny. Jedna z nich później opuściła naszą miejscowość. W innych wsiach łemkowskich oraz w pobliskich miasteczkach żydowskich rodzin było znacznie więcej. Dla naszej rodziny byli bardzo dobrymi sąsiadami, tato przyjaźnił się z nimi. Żyd zawsze chciał tatusiowi pomóc, bo wiedział, że sam bez żony wychowuje dzieci. Mamusia nam umarła, gdy miałam 11 lat, a moje rodzeństwo było jeszcze młodsze. Tylko jeden z braci był ode mnie starszy, ale on zmarł w 1938 r., więc to ja zostałam najstarsza. Jak tatuś brał coś w sklepie „na borg”, czy jak byśmy po polsku powiedzieli: „na zeszyt”, to Szymon (tak się nazywał Żyd, właściciel sklepu) czekał miesiąc, dwa miesiące, a nieraz i dłużej. Wiedział, że tatuś jest uczciwym człowiekiem i prędzej czy później odda pieniądze. Szymon miał trzy córki: Roję, Gitlę i Stefkę. Nie pamiętam już, jak nazywała się jego żona. Ona i jej córki uchodziły za najlepsze krawcowe w okolicy.

Głównym zajęciem Żydów w górach był handel

W Krempnej były dwa sklepy. Jeden polski, drugi żydowski. W sklepie prowadzonym przez Żyda było dużo więcej towaru, towar był lepszy niż w sklepie polskim. Dlatego też ludzie częściej chodzili do Żyda po zakupy. Podobnie było w Żmigrodzie, gdzie piekarz, który był Żydem wypiekał dużo lepszy chleb. Ludzie woleli od niego kupować. Gdy gospodarz chciał kupić sobie dobrego konia szedł do Żyda i prosił o pomoc. Ten zawsze kupował dla gospodarzy dobre zwierzę za niewielkie pieniądze. W miastach, Żydów można było spotkać wszędzie. Pracowali w sądach, prowadzili sklepy, byli najlepszymi lekarzami, krawcami, szewcami itp. W pobliskiej wsi Żydowskie było dwanaście rodzin żydowskich. Jedna z nich prowadziła tartak. Zatrudniali się w nim również Polacy. Właściciel tartaku nie płacił stałych dniówek, ale obserwował każdego i płacił

odpowiednio za wykonaną pracę. Jak ktoś pracował nieuczciwie, obijał się, płacił niewiele, natomiast temu, kto pracował solidnie, płacił więcej. Wszyscy się dziwili, skąd Żyd to wszystko wie? Podziwialiśmy Żydów, że byli tak dobrymi handlarzami. Nikt nie wiedział, czy oni się gdzieś tego wcześniej uczyli, czy po prostu mieli już to wrodzone. Ludzie mówili między sobą, że Żyd nie ma ani pola, ani lasu, ani swojej gospodarki, ale ma dobrą głowę do handlu. Dzięki temu i sobie dobrze zarządzi, i innym pomoże.

Wspólne modlitwy w bożnicy

W Krempnej była cerkiew pod wezwaniem świętych Kosmy i Damiana. W niej modlili się Łemkowie, a czasem i Polacy, którzy chodzili na Liturgię podczas naszych świąt. Żydzi mieli swoje miejsce modlitwy, nazywane „bożnicą”, która była urządzona w domu rodziny, która się z nami przyjaźniła. Modlili się tam zawsze w sobotę. Zdarzało się często, że wracając z pracy w polu wchodziliśmy do bożnicy w czasie, kiedy oni akurat odprawiali nabożeństwo. Stawaliśmy z tyłu i uczestniczyliśmy w tych obrzędach, oni zazwyczaj obracali się do nas i witali uśmiechem, a potem dalej się modlili. Przychodziliśmy raczej z ciekawości i lubiliśmy to, a nasz ksiądz, który nazywał się Wysoczański, nie zabraniał nam tego. Ksiądz nas uspokajał, że możemy spokojnie chodzić na modlitwy do Żydów, bo się trochę na początku obawialiśmy, czy nam wolno.

Żydzi wiedzieli co się dzieje na świecie

Żydzi byli bardzo biegli. Wiedzieli, co się dzieje na świecie, wiedzieli, że zbliża się wojna. Wszystko wyprzedali, rozdali znajomym, wyjechali z Krempnej w 1939 r. i nigdy więcej ich już nie widzieliśmy. Nie wiem dokąd pojechali. Nie ze wszystkich wsi Żydzi wyjechali. Ci, którzy zostali, ukrywali się, żeby ocaleć. W wielu wsiach Łemkowie pomagali swym sąsiadom chowając ich nielegalnie w swych domach. W Krempnej też jedna rodzina udzielała Żydom schronienia. Tak przynajmniej wszyscy uważali, ale czy tak było naprawdę, nie wiadomo. Nikt tych Żydów u nich nie widział.

Koniec żydowskiego świata

Niestety, mimo pomocy sąsiadów wielu Żydów z naszych okolic zostało wymordowanych przez Niemców. A odbyło się to tak. Na początku lipca 1942 roku mój tato, jak zwykle, udał się do zagajnika na polanę, by kosić. Przyjechali na naszą łąkę Niemcy, rozejrzeli się i pojechali dalej. Po kilku godzinach wrócili. Tato się bardzo przestraszył, chciał uciekać, lecz nie zdążył. Z racji tego, że tato służył w czasie I wojny światowej w wojsku austriackim i znał język niemiecki bez problemu mógł porozumieć się z Niemcem. Ten kazał mu opuścić pole i przez kolejnych pięć dni zakazał zbliżania się do tego miejsca. Tato pytał, o co chodzi? Nie dowiedział się, bo - jak mówił żołnierz - była to wojskowa sprawa. Przestraszony odszedł. Odchodząc obrócił się jeszcze, zobaczył chłopów z łopatami, którzy akurat zaczęli tam kopać. We wsi wszyscy mówili, że na pewno coś się będzie działo z Żydami. Po dwóch dniach z pola od strony Hałbowa było słychać strzały. To był 7 lipca. Wszyscyśmy się bardzo bali, siedzieliśmy cicho w domach, nawet krowy nie wyprowadziliśmy na pastwiska tego dnia. Jeden chłopiec z ciekawości, co tam się dzieje, wszedł na drzewo. Wszyscy mu to odradzali, bo Niemcy mieli lornetki i mogliby go zobaczyć. Chłopak został zauważony. Całe szczęście, że mieszkał niedaleko i zdążył uciec, zanim niemieckie wojsko przyjechało po niego. Zawsze pozostanie mi w pamięci odgłos strzałów, krzyk i płacz, które niosło echo po całej wsi i okolicy. To był bardzo mroczny i smutny dzień. Podobno zginęło wtedy ponad 1200 Żydów z okolicy, głównie kobiet, starców i dzieci.

To nie była kara

Przez dół wielkości obecnego bloku mieszkalnego położone były deski. Na nich siadały niekiedy całe rodziny lub całkiem obcy sobie ludzie. Padały strzały i Żydzi spadali do dołów. Niektórzy jeszcze żyli, ale padali kolejni i kolejni. Żywi nie mieli już szans na ocalenie. Żołnierze niemieccy, którzy dokonywali tych mordów zakopali dół i odjechali. Po kilku dniach, gdy stwierdziliśmy, że wszystko się skończyło ciekawscy poszli zobaczyć. Na ziemi leżało pełno pierścionków i ubrań. Było lato, więc ciała zaczęły się bardzo szybko rozkładać i w okolicy unosił się obrzydliwy smród, w strumykach zamiast wody zaczęła płynąć krew. To było coś strasznego. O tym, co się działo zostali powiadomieni Niemcy. Muszę przyznać, że bardzo szybko zareagowali i wszystko odkazili. Mieszkańcy Krempnej nie

mogli zrozumieć, dlaczego coś takiego się stało, szukali jakiegoś wytłumaczenia. Niektórzy mówili, że to była kara dla Żydów za to, że zabili Pana Jezusa. Jednak ksiądz Wysoczański stanowczo zakazał tak mówić. Tłumaczył, że nikt nie wie, dlaczego tak się stało i nie możemy twierdzić, że to była kara.

Kolejna śmierć

Kilka dni później stało się coś równie strasznego. W pobliżu drogi, koło miejsca, gdzie stracono Żydów znaleziono młodą kobietę. Była to Żydówka, która chyba wypadła z samochodu podczas transportu, nie wiem na pewno. Nie została zauważona i ocalała. Bez wątpienia słyszała, a może nawet i widziała, jak odbywała się zbrodnia na jej rodakach i rodzinie. Bardzo się chyba bała i nie wiedziała, co robić, bo ukryła się tuż przy drodze, w polu obsianym pszenicą, którą się żywiła. Nie ruszyła się z tego miejsca przez kilka dni. Jednak głód i zmęczenie zmusiło ją do podejścia do drogi, gdzie znaleźli ją przejeżdżający tędy Niemcy. Gdy ją znaleziono, była bardzo wynędzniała i słaba. Mimo to była nadal bardzo piękna. Żołnierze przywieźli ją do wsi. Niemcy chcieli ją zastrzelić, ale nie chcieli tego robić sami. Zmusili do tego policjantów, którzy stacjonowali we wsi. To byli akurat Ukraińcy. Żaden z nich nie chciał jej zastrzelić, ale wreszcie jeden pod przymusem się odważył. Wywieźli kobietę poza wieś i tam ją zabili. Pochowano ją niedaleko miejsca, gdzie leżeli już zamordowani wcześniej Żydzi. Niemcy nawet nie chcieli własnymi rękami kopać dołu na grób, zmusili do tego kilku mieszkańców Krempnej.

Bracia

Dla mojej rodziny mord dokonany na Żydach był szczególnym przeżyciem, bo wszyscy zabici zostali pochowani na należącym do rodziny Bowanków polu. Po wojnie w 1947 r. do Krempnej przyjechali Żydzi z Ameryki w poszukiwaniu miejsca zbrodni. Długo oglądali to miejsce. Obiecali mojemu tatusiowi zapłacić za te dwa hektary ziemi i odkupić je od niego. Niestety, nie doczekaliśmy się rekompensaty za stratę ziemi, ponieważ za miesiąc zostaliśmy wygnani na zachód i zostawiliśmy w górach wszystko. Do dziś, gdy oglądam fotografię mogiły, która została postawiona na miejscu mordu, to czuję szczególną więź z tymi ludźmi, którzy tam spoczywają. To są jakby moi bracia, bo zginęli na naszym polu i przykryła ich ciała nasza ziemia.

Przeszłam straszną tragedię i tułaczkę

Moje wspomnienia z 1947 roku pamiętam jak dziś. Mając jedenaście lat przeszłam straszną tragedię i tułaczkę wraz z rodzicami. Rodzice zmuszeni byli do opuszczenia dorobku całego swego życia, miejsca, gdzie się wychowywali i tak ciężko pracowali. Musieli zostawić 12 hektarowe gospodarstwo, które w tym czasie było obrobione. Zboże dojrzywało już do koszenia. Otrzymali od dowódcy nakaz, by w ciągu dwóch godzin być spakowanym i przygotowanym do opuszczenia swego domu. W pierwszej chwili, jak sobie przypominam, nastąpił straszliwy płacz i rozpacz, szczególnie mamusi. Co pocnie z dziećmi? Było nas siedmioro. Najstarszy brat miał 19 lat, a najmłodszy - 7 miesięcy. Mamusia zaczęła pakować nasze najpotrzebniejsze rzeczy do podróży jako podręczny bagaż. Naczynia do skrzynek. Tatusz zajął się przygotowaniem zwierząt, które ze sobą zabieraliśmy, by podczas podróży mieć dla dzieci mleko.

Góry, pola i lasy płaczą za ludźmi

Podróż była bardzo trudna i mozolna. Ze swojej wsi Regetów jechaliśmy 30 kilometrów do Gorlic. Tam otrzymaliśmy nakaz zatrzymania się na okres jednego tygodnia z powodu braku transportu do załadunku na dalszą podróż. Spaliśmy w ogromnej stodole na sianie, a zwierzęta, po kolana w błocie, stały na ulewnym deszczu, który w tym czasie padał dzień i noc przez cały tydzień. Miejscowa ludność, z Gorlic, mówiła, że góry, pola i lasy płaczą za ludźmi, którzy muszą zostawić opustoszałe, wyludnione miejscowości. Na 718 osób w Regetowie pozostały cztery rodziny pochodzenia polskiego. We wsi było tylko słyszeć szczekanie psów i miauczenie kotów, bo pełno pozostało blakających się zwierząt. Po tygodniu wegetacji w Gorlicach załadowano nas do wagonów towarowych, którymi udaliśmy się w podróż. Był rok 1947. My, jako duża, dziesięcioosobowa rodzina, dostaliśmy jeden taki wagon, przegrodzony na połowę: w jednej połowie zwierzęta, a w drugiej, my ze swoim bagażem. Najgorzej wspominam kompletny brak miejsca na wstawienie wózka dla siedmiomiesięcznego braciszka, który ponadto zaczął w podróży chorować, a udzielenie pomocy lekarskiej, było niemożliwością.

Można sobie wyobrazić warunki sanitarne. Mycie, toaleta, spanie w jednym wagonie, razem z bydłem. Woda do picia, mycia, jedzenia była wtedy, gdy transport zatrzymał się na jakiejś stacji. Wojsko kazało napełniać naczynia wodą i wtedy, jeden przez drugiego, biegł do pompy by tylko nie brakło wody. Trzeba było jej dużo, dla ludzi i zwierząt. Zwierzęta ryczały z głodu, a gospodarze nie mieli im co dać do żarcia. To był straszny widok. Były takie momenty, że cały transport zatrzymywał się w takich miejscowościach, gdzie siano było na łąkach i wojsko pozwalało gospodarzom wychodzić z wagonów, żeby brać, a w zasadzie kraść to siano. Były też takie sytuacje, że właściciele swego siana pilnowali i widłami przepędzali ludność z transportu. Pamiętam, jak mój tatuś dostał kołkiem po plecach i z tym sianem upadł na tory. Raz dziennie rozdawano nam zupę i wojskowe sucharki, a dożywiano się tym, co zabrano ze sobą z domu rodzinnego. W ciągu trzech tygodni podróży zapasy całkowicie się wyczerpały.

Spędziliśmy trzy doby pod gołym niebem

Nasz transport został wyładowany na stacji w Starym Kurowie, tam władze PUR-u dokonały selekcji przybyłych i skierowały do powiatu Strzelce Krajeńskie. Pojechaliśmy w różne okolice, oddalone od siebie od dziesięciu do czterdziestu kilometrów, a nawet i więcej, aby ludzie nie mieli ze sobą kontaktu. Nasza rodzina, jak i kilka pozostałych, zostały skierowane do miasta Strzelce Krajeńskie. Wyładowano nas na rynku w Strzelcach, gdzie spędziliśmy trzy doby pod gołym niebem. Miejscowa ludność spoglądała na nas niczym na ludzi z innej planety, bo nasz wygląd, zmęczenie i głód wskazywały same za siebie... Dorośli jakoś znieśli i przecierpieli te trzy doby, natomiast gorzej było z moim siedmiomiesięcznym braciszkiem, który się przeziębził i zachorował. Po drugiej dobie koczowania na rynku, mamusia znalazła mieszkankę Strzelca - panią Gajdową, która bardzo serdecznie zaopiekowała się mamusią i małym braciszkiem, zabierając ich do swego domu i udzielając pierwszej pomocy. Pierwszym ratunkiem była kąpiel, a następnie wezwanie lekarza. Lekarz stwierdził wielkie wycieńczenie, osłabienie i zapalenie płuc. Po trzymiesięcznym, bezskutecznym leczeniu braciszek zmarł...

Nie było ani okien, ani drzwi

Po trzech dobach koczowania na rynku otrzymaliśmy od władz strzeleckich przydział do domu, gdzie dostaliśmy dwa pokoje na piętrze i małą kuchenkę. W mieszkaniu nie było ani okien, ani drzwi, a z podłóg wystawały powyrywane deski. Jednak dach nad głową już mieliśmy. Rozpacz i płacz, co począć dalej? Dobrze, że to było lato i tatuś postarał się o wstawienie drzwi i naprawienie podłogi. To było na ulicy Ludowej nr 14, mieszkaliśmy tam kilka miesięcy. Potrzeba pieniędzy dla tak licznej rodziny sprawiła, że tatuś zaczął szukać pracy. Wiadomo było, że z pracą jest problem, a żyć trzeba było. Po kilku miesiącach trudu poszukiwania znalazł ją w gospodarstwie rolnym u państwa Czajów na ul. Cegielnej i tam zamieszkała cała nasza rodzina. Tam tatuś pracował jako robotnik w gospodarstwie rolnym, postarał się również o zatrudnienie najstarszego brata i siostry. Zmusiły go do tego warunki, bo bardzo były potrzebne pieniądze. Rozpoczął się rok szkolny i dzieci trzeba było wyposażyć w podręczniki i materiały szkolne. Ja rozpoczynałam wówczas klasę trzecią. W tej samej szkole ukończyłam klasę siódmą. Potem zdałam egzamin do Liceum Pedagogicznego w Ośnie Lubuskim i tam ukończyłam szkołę średnią w 1954 roku. Po Liceum Pedagogicznym otrzymałam nakaz z Wydziału Oświaty do pracy w przedszkolu. W tym zawodzie przepracowałam 32 lata.

Praca z dziećmi była moją pasją

Praca z dziećmi była moją życiową pasją. Ponieważ trudny los, w pewnym stopniu, mogłam zrekompensować sobie poprzez wymarzoną pracę zawodową, pragnę przybliżyć, na czym ona polegała. Najważniejszym i najtrudniejszym elementem, zarówno dla nauczyciela jak i dla dzieci, było przygotowywanie uroczystości i tańców. Tańce są prowadzone z dziećmi w przedszkolu już od piątego roku życia. Taniec jest formą, która przynosi dzieciom dużo radości. Już obcowanie z muzyką stwarza nastrój zadowolenia, a taniec przy muzyce wynikający z naturalnej potrzeby ruchowej dziecka, jeszcze tę radość potęguje. Ludowe melodie i tańce zbliżają dziecko do naszej kultury i sztuki ludowej, pozostawiają często w jego przeżyciach trwałe ślady. Tańce narodowe, tj. Polonez, Mazur, Kujawiak są dla dzieci przedszkolnych za trudne. Jedynie Krakowiak i Trojak w łatwym układzie mogą być przez nie przyswojone, ponieważ dzieci mogą

opanować podstawowy krok tańca, cwał. Wartość tańca podnoszą estetycznie wykonane kostiumy. Praca z dziećmi wymaga poświęcenia, wysiłku i serca oraz dobrego przygotowania.

Rzeka tak samo pięknie szumi

Prawie co roku, póki zdrowie mi na to pozwala, jeżdżę w góry w swoje rodzinne strony. Staram się wówczas odwiedzać Regetów. Żal jednak ściska za serce na widok zmian, które nastąpiły w rodzinnej wsi bez naszego udziału, wbrew naszej woli. Mojego domu rodzinnego już nie ma. Wieś zmieniła się nie do poznania - zarosła drzewami i krzewami, tylko gdzieś tam można spotkać zdziczałe drzewa owocowe i przydrożne krzyże, które pamiętają dawne czasy. Najmniej zmieniła się rzeka, płynie tym samym korytem i tak samo pięknie szumi. Z żalem odwiedzam miejsce, gdzie przed wysiedleniem stała nowa, drewniana cerkiew. Nie znam jej losów. Aktualnie nie ma już śladu po niej. Czas powoli zaciera wszelkie ślady naszego cierpienia.

Anna Jedynak, 83 lata

Pochodzę ze Żdyni

Pochodzę ze Żdyni, w powiecie gorlickim. Byłam ochrzczona w cerkwi greckokatolickiej. Tam chodziłam do szkoły podstawowej. Nauczyciel był Łemkiem, uczył nas języka łemkowskiego i polskiego, żebyśmy umieli i tak i tak rozmawiać. Polaków w Żdyni było dwóch. Święta obchodzili razem z nami, bo do Gorlic było daleko - 25 kilometrów. Mój tato zmarł wcześniej. Miałam wtedy siedem lat. Na samo Błahowiszczynia to się stało, przed Wielkanocą. W domu zostało nas pięcioro dzieci. Mieliśmy pole, krowy, dwa konie. Mama najęła więc służbę: sługę i służącą.

Zima

W górach śnieg zawsze leżał równo z dachami. Pamiętam, kiedy miałam siedem lat i mama niosła mnie do szkoły. Upadła ze mną w ten śnieg. Mój brat był niedawno w górach i opowiadał, że wszystkie płoty i domy znowu tam całkiem zawiało.

Zostawiliśmy całą gazdilkę

Najpierw wysiedlali ludzi do Rosji, bo tam niby nasi - Ukraińcy - mieszkali. Ja nie chciałam jechać. Tych, którzy nie poszli do Rosji, w 1947 roku wygnano na Ziemię Zachodnie. Nasze domy zburzyli. Nie wiem, czy je na drewno zabrali, czy gdzie. Nowe postavili.

Zostawiliśmy całą gazdilkę: maszyny, młyn do ziarna, kierat. Ale ponieważ wiedzieliśmy, że wcześniej wygnali ludzi z Wołowca i okolic, zdążyliśmy też trochę rzeczy popakować do skrzynek: obrazy, żeby się szybki nie pobiły, talerze. Mieliliśmy w domu w górach dwanaście obrazów. Babcia, mama mojego taty, z Ameryki je przywiozła. Całą ścianę zajmowały. Zabraliśmy wszystkie, oprócz jednego, przedstawiającego Piotra i Pawła. Piękny był. Dzisiaj w moim pokoju wiszą dwa z tych obrazów. A dwie wielkie beczki kapusty w komorze wtedy zostały. I kartofli tyle!

Nigdy już pociągiem nie pojedę

Jechaliśmy w wagonie z krowami, z końmi. Dwa tygodnie to trwało. Powiedziałam, że nigdy więcej pociągiem nie pojedę! Ale... pojechałam, bo mam siostrę w Starych Bielicach i do niej jechałam. I w górach też byłam u brata.

Brat wrócił w góry

Kiedy brat dowiedział się, że można wrócić w góry, pojechał tam z żoną. Nie mieli chyży, ale znaleźli jakąś starą chatkę i tam się zatrzymali. Żona brata zmarła, chyży nie wybudowała, nie pomogła mu. Dzieci czworo zostało: dwóch chłopców i dwie dziewczynki.

Nasi ludzie nikogo nie mordowali

Wyładowali nas z pociągu w Starym Kurowie. Stamtąd z krowami, w nocy szliśmy pieszo aż do Brzozy. Było tak ciemno, że nie widzieliśmy którądy iść. W Brzozie zebrali nas w parku, niedaleko cerkwi. Polacy wyzywali nas: O! Ukraińcy! Banderowcy przyjechali! I bili nasze krowy.

A my nie jesteśmy Ukraińcy, tylko Łemkowie. Nasi ludzie nikogo nie mordowali. Kiedyś na dożynkach w Brzozie Polacy Polaka zarżnęli nożem, a nas mieli za bandytów! Ci chłopcy, którzy wtedy tak krzyczeli, żyją jeszcze, jeden mieszka w bloku przy drodze.

W pegeerze w Brzozie

W Brzozie był pegeer. Ośmioro nas z rodziny tam pracowało: pięcioro dzieci, mama, szwagier, siostra. Mama rano gotowała obiad, a potem szła snopki ustawiać do pegeeru. Pola tu były wielkie, krowy, świny, byki - wszystko. A teraz wszystko rozwalili i nie ma nic. Ziemi dali nam po pięć arów pod kartofle.

Polacy nic nam nie wadzili. Mieliśmy robotę i chleb. W pegeerze pracowało stu ludzi, albo i więcej. Kiedy codziennie przychodziliśmy na poranny apel, strasznie dużo nas było! Pierwszego dnia stawiliśmy się do roboty pięknie ubrani. Przydzielili nas do sprzątania magazynu. A w czerwcu to już chodziliśmy na pole hakać buraki. Robiliśmy, jak w domu, jak sobie. Była jedna przodownica, co ciach! od razu daleko poszła. A my w tyle zostaliśmy, bo robiliśmy równiusieńko.

Dlaczego zrobili w Brzozie prawosławną cerkiew?

Na początku w Brzozie nie było cerkwi. Polacy też kościoła tutaj nie mieli. Chodziliśmy do kościoła do Strzelec. Potem mój mąż i inni doprowadzili do tego, że powstała cerkiew w Brzozie. Budynek był zniszczony, ludzie przychodzili tu sikać. Wszystko było porozwalane. Niemcy zostawili swój kościół w dobrym stanie, jak należało i na początku stał pusty. Ale ci, którzy przyszli tu mieszkać, wszystko zniszczyli. Ławki i nową posadzkę Łemkowie zrobili. Dawniej na podłodze były nierówne cegły. Wyrzucono je i dzisiaj ładna posadzka jest. Dawniej to był kościół ewangelicki. Nie wiem, dlaczego zrobili tu prawosławną cerkiew? Przecież my jesteśmy grekokatolikami. Może ten drugi, który pomagał mojemu mężowi, był prawosławny? Nie wiem

i nie ma kogo o to spytać, bo najstarsi już nie żyją. Mówili, że grekokatolickiej parafii nie wolno było zakładać, a na prawosławną władze się zgodziły. Tutaj też kiedyś nasz ksiądz zaczął po prawosławnemu odprawiać. Ale ktoś poszedł do księdza do zachrystii i powiedział: Jegomość, jesteście grekokatolik! Odprawiajcie po grekokatolicku! A nie po prawosławnemu! Jegomość, który jest dzisiaj, czysto po naszymu mówi. Jego babcia jest z mojej rodziny...

Cerkiew jest dla mnie bardzo ważna, bo ja nie wiem, co się w polskim kościele robi. Tutaj mam swój modlitewnik, swoją Biblię. Ślub brałam w 1948 roku w kościele, ale tylko dlatego, że tu nie było cerkwi.

Czuję się grekokatoliczką

Czuję się grekokatoliczką, Łemkinia. To jedno i to samo. W domu mówię po swojemu.

Święta, jak w górach

Święta obchodzimy tak samo, jak w górach. Szanujemy je - i Rusala, nasz Zeleny Świata, Jana, Petra i Pawła, Błahowiszczynia i inne.

Może młodzi nie pozapominają tego, co łemkowskie?

Moje wnuki uczą się mówić po łemkowsku. Wnuk mówi, że jak po polsku jest rzeka, a po naszymu rika, to już wie, że musi napisać "rz". I inne wyrazy też da się tak sprawdzić. No żaba na przykład nie, bo to "ż", a nie "rz", nie trzeba zamieniać. On mówi: Babciu, ja chcę znać łemkowski, bo mi to potrzebne potem w szkole. Może młodzi nie pozapominają tego, co łemkowskie? Jak się pożeńią Łemkinia z Łemkiem - zawsze będą znać swoją mowę. Gorzej jak się wymieszają...

Mało nas do śpiewania

Kiedy nas tu przywieziono, było dużo rodzin i było wesoło. Dzisiaj mało jest ludzi, to już nie ma śpiewania. Młodzi już nie znają tych piosenek.

Młody ksiądz

Teraz chodzimy w Brzozie do cerkwi w każdą niedzielę. Ksiądz odprawia służbę w święta i niedziele. Najpierw w Ługach, potem u nas. Jegomość Kochan tak nie robił. Przyjeżdżał tylko co dwa tygodnie, a na święta odprawiał tylko w Ługach. Teraz jest młody ksiądz, to lata i tu i tam. Bo ile on ma lat? Dwadzieścia parę. Chyba się dobrze uczył, jak tak szybko poszedł na księdza.

Anna Dzwonczyk, z domu Hoć, 67 lat

Gdzie nas wysiedlą?

Miałam niespełna dziesięć lat w dniu, w którym nastąpiło wysiedlenie mojej rodziny ze wsi Śnietnica, gdzie żyliśmy od zawsze. Pamiętam jak rodzice rozmawiali z dziadkami, że skoro wysiedlono niektórych mieszkańców na wschód - między innymi naszego stryjka, taty przyrodniego brata z Hańczowej i naszą ciocię, mamy siostrę z Czarnej - to i nas tu nie zostawia. Od tej pory często myślałam o tym gdzie i dlaczego będziemy wysiedleni ze swojej ziemi i swojego domu. Na naszym polu były dwa potoki, oba ze strumieniem czystej jak kryształ wody i pięknymi brzegami. Obok tych strumieni pasłam krowy, owce i konie...

Żyd Czumul

Zapamiętałam pożegnanie rodziny żydowskiej - mam do dzisiaj przed oczami widok jak do taty, który kosił trawę na łące, a ja zbierałam kwiatki, przyszedł Żyd o nazwisku Czumul. Płakał. Bardzo płakał. Żegnał się z tatą i mówił: *Dzisiaj nas wysiedlają, ale was też stąd wysiedlą.* I miał rację. Żyd ten miał w Śnietnicy sklep.

Ja się stąd nie ruszę!

Zgodnie z tym, co przewidywali dziadkowie, rodzice i z tym, co powiedział Żyd Czul, nastąpiło masowe wysiedlanie pozostałych rodzin. Najbardziej pamiętam jak wszyscy płakali. Rodzice ładowali na wóz, przywiązywali do niego krowy, a żal rozpierał im piersi... Mój starszy o dwa lata brat - Piotr (a miał wtedy dwanaście lat) - powiedział, że nigdzie nie pojedzie. Usiadł przy pieńku, na którym rąbaliśmy drzewo, płakał i mówił: Ja się stąd nie ruszę, ja tu zostanę! Odjechalismy myśląc, że nas dogoni, ale on nawet nie myślał iść za nami! Brat Mytro wrócił po niego i go przyprowadził.

Gdzie będziemy spać?

Najboleśniej przeżyłam pierwszy dzień transportu furmankami do stacji kolejowej. Nadchodził wieczór, jechaliśmy przez wsie, gdzie dzieci bawiły się przy drodze, a ja mówiłam do mamy: *Te dzieci będą spać w swoich domach, a my gdzie będziemy spać?*

Śniłam...

Pierwsze lata na zachodzie to było pasmo niekończących się snów o rodzinnej Śnietnicy. Śniłam, że chodzę z braćmi na maliny na naszą górę Kyczerę, że pasłam krowy na łące pod lasem, że chodziłam z rodzicami do cerkwi...

Tylko ptaki śpiewały...

Pamiętam też wyraźnie, jak jednego razu mama zabrała mnie do Wysowej na Świętą Górę Jawor. Szłyśmy piechotą, drogą która - jak pamiętam - w większej części prowadziła przez las. To święte miejsce wywarło na mnie ogromne wrażenie. Było tam tak ładnie... Ja, swoimi dziecięcymi oczami nie tylko widziałam piękno kaplicy z cudowną ikoną Matki Bożej, ale i czułam wyjątkową atmosferę tego miejsca. Byłyśmy same. Było tam tak cicho, tylko ptaki śpiewały... Dzisiaj jestem pewna, że pierwsza moja wyprawa na to święte miejsce spowodowała, że z zachodu przyjeżdżałam tam ze swoimi dziećmi - Marysią i Piotrem, kiedy jeszcze byli mali. Trzeba ich było wnieść na Górę na rękach... Teraz jeżdżę nie tylko ja, ale i moje dzieci ze swoimi dziećmi, a mam nadzieję, że i moje wnuki ze swoimi dziećmi

będą przyjeżdżać na tę świętą górę. Czy odwiedzilibyśmy to miejsce gdyby nie to, że pięćdziesiąt sześć lat temu moja mama wzięła mnie ze sobą? Mamo, dziękuję Wam...

Luba Pawełczak, 70 lat

Rodzice wszystko potrafili zrobić

Mój ojciec, Teodor, był bardzo lubiany i szanowany we wsi, dlatego że był „złotą rączką” - wszystko umiał zrobić i naprawić, zrobił sobie nawet skrzypce. Dla nas robił zabawki, bo wtedy nie było innych, a nawet gdyby były, to i tak brakowało na nie pieniędzy. Lalki szyłyśmy ze szmatek, mama im robiła oczka z guzików. Tata wyrzeźbił nam wózek, konia na biegunach, taczkę. Ludziom we wsi robił drzwi, okna, trumny, szafy, łóżka, wszystko, co można było wykonać z drewna.

Mama natomiast umiała tkać płótno lniane i z wełny. Potem wybielało się je na słońcu i z tego szyło prześcieradła, obrusy, białe spodnie na niedzielę, koszule, które potem się wyszywało. Z wełny, po przefilcowaniu na foluszu, robiono tkaninę podobną do flauszu, z tego szyło się na zimę spodnie, kurtki. Z wełny kobiety robiły też pończochy, gdyż w czasie wojny i krótko po niej, innych nie było, najwyżej z Czech, bo oni z Niemcami sztamę trzymali i dlatego wszystko mieli.

Chleb zawsze w domu był

Nie pamiętam, żebyśmy kiedykolwiek byli głodni. Głód mógł panować jedynie w wioskach przy linii frontu, gdzie spalono domy i zniszczono uprawy. Luksusów u nas z pewnością nie było, ale chleb zawsze był.

W górach sprzęt był bardziej prymitywny

Były różnice w uprawie ziemi i w sprzęcie gospodarskim, używanym w górach i na Ziemiach Odzyskanych. W górach sprzęt był bardziej prymitywny. Teren był trudny, kamienisty, nie można było kosić kosiarką, jak na Ziemiach Odzyskanych. W górach większość sprzętu prawdopodobnie po prostu by się połamała, np. dwuskibowy pług.

Tata nie pozwalał ścinać lasu

Mieliśmy siedem hektarów ziemi i kilkanaście hektarów lasów. Ojciec opowiadał, że dziadek i pradziadek jeździli do Ameryki na zarobek, żeby po powrocie kupić lasy. Ojciec bardzo szanował las, nie pozwalał go ścinać, nawet dyszel do wozu wołał kupić niż wyciąć choćby jedną jodłę. Po przyjeździe na Ziemię Odzyskaną dostaliśmy tylko siedem hektarów ziemi, tyle ile mieliśmy w górach, a za lasy - ani grosza odszkodowania. Może kiedyś... Bo przecież jakieś księgi wieczyste na pewno są.

Szkoła w górach

Od naszego pokolenia był obowiązek uczęszczania do siedmioletniej szkoły podstawowej, przedtem wyglądało to różnie, część rodziców posyłała dzieci do szkoły, część - nie. W Grybowie, skąd pochodziła moja mama, wszyscy się uczyli, a w wiosce taty - mało kto, mój tata też nie chodził do szkoły.

Nasza szkoła była murowana, bardzo ładna, zadbana. Nauczyciel był jeden. Szkoła była czteroklasowa, jeżeli ktoś chciał skończyć piątą, szóstą i siódmą klasę musiał wyjechać do Gorlic i zamieszkać w bursie. Nie każda rodzina mogła sobie na to pozwolić, ludzie mieli po czworo, sześcioro, nawet ośmioro dzieci, kto by tam myślał o ich gruntownym wykształceniu. Zresztą wielu mówiło: „Tyle co tu się nauczył to mu wystarczy, ma być przecież rolnikiem”. Dlatego naród łemkowski nie był wykształcony. Ale dzieci były bardzo zdolne, i po przesiedleniu w ciągu jednego roku nauczyliśmy się języka polskiego. Zarówno w szkole w Drezdenku, jak i w Krzyżu, nauczyciele dziwili się, bo prawie zawsze dostawaliśmy piątki z polskiego, podczas gdy reszta dzieci jedynie tróje. Najbardziej doceniał nas profesor Zieleniewski,

człowiek światowy, który zwiedził pół świata, chwalił nas, że mówimy piękną polszczyzną. Większość moich rówieśników ukończyła potem technika i licea, a wiele naszych dzieci ma tytuły magistrów. W górach natomiast jedynie nieliczni szli do szkół średnich i na studia do Krakowa, potem pracowali jako nauczyciele, księża i w biurach.

Lemkowie przechodzą na prawosławie

Nie pamiętam konfliktów z powodu wiary, choć przecież wielu Łemków wróciło do prawosławia. Byłam wtedy mała, ale ojciec opowiadał, że winni byli przede wszystkim księża greckokatoliccy, bo zachowywali się niczym „panowie”. Mieli gospodarki wielkości połowy wioski i ludzie musieli na nich pracować, oczywiście za darmo. Poza tym, kiedy młoda para przychodziła do księdza na nauki przedmażeńskie, wyglądały one mniej więcej tak, że dziewczyna sprzątała plebanię, a chłopak rąbał drzewo, latem natomiast kosili siano lub brali udział w żniwach. Ludzie buntowali się przeciwko temu.

Powodów, dla których prawosławie, które przyszło z Rosji miało takie wzięcie, było kilka: księża prawosławni zaczęli robić konkurencję greckokatolickim poprzez darmowe chrzty, pogrzeby, bardzo skromne życie... I ludziom to się podobało. W naszej wiosce niewielu zmieniło wiarę, ale były takie, gdzie wszyscy przeszli na prawosławie, na przykład Skwirtne.

Lemkowskie święta Bożego Narodzenia

Wigilia, podobnie jak w polskiej kulturze, to najbardziej uroczyste święto w roku. Inne są jednak nasze tradycje. W górach zimą temperatura dochodziła do minus trzydziestu stopni, mimo tego rozpoczynaliśmy wieczerzę wigilijną od mycia się w dopiero co przyniesionej ze studni wodzie. Ojciec wlewał wodę do dużej miski na środku pokoju i wrzucał do niej kilka monet. Wszystkie dzieciaki musiały umyć twarz tą wodą i monetami, żeby były zdrowe przez cały rok. Potem tata szedł do obory i dawał bydłu po kawałku chleba z czosnkiem, moczonym w miodzie. Po jego powrocie zasiadaliśmy do stołu nakrytego białym obrusem, na którym mama rozsypywała pszenicę i trochę drobiutkiego siana. Na stole stała biała świeca w glinianym naczyniu, obsypana siemieniem lnianym lub pszenicą, paliła się przez cały posiłek. W kącie zawsze stało wiaderko, do którego wrzucało się po trzy łyżki każdego dania - to miało przynieść szczęście domowi. Potem

należało to dać zwierzętom. Opłatka u nas nie było, dzieliliśmy się za to czosnkiem, moczonym w miodzie, abyśmy byli zdrowi jak ten czosnek. Potem jedliśmy grzybki w specjalnym sosie i kisielicę - żurek z owsianej mąki. Przygotowanie obu potraw wymagało dużego doświadczenia kucharskiego, gdyż można było je łatwo spartaczyć, np. żurek nie mógł się ani razu zagotować. Oprócz tego jedliśmy ziemniaczki smażone lub gotowane. Następną potrawą były pierogi z kapustą i grzybami, a dla dzieci z marmoladą, poza tym bób gotowany i kapusta z grochem. W wielu łemkowskich domach jadło się kutię, ale moja mama nigdy jej nie robiła. Do picia przygotowywano kompot z suszonych owoców.

Choinki były, ale nie ubieraliśmy ich bombkami, gdyż ich po prostu nie było. Przysstrajaliśmy je malowanymi wyduszkami, bibułą, piernikami, cukierkami, jabłkami, tym, co kto miał. Po wieczery wigilijnej, około ósmej, dorośli szli do cerkwi na *poweczerja* - nabożeństwo wieczorne. Pierwszego dnia świąt rano znowu szliśmy do cerkwi. Nie wolno było tego dnia pracować, nawet gotować, zresztą i tak jedliśmy to, co zostawało z wieczery wigilijnej. Dopiero na drugi dzień zaczynało się sprzątanie stołu i domu, zboże i siano dawano zwierzętom, a wszystkie śmieci, ponieważ były święte, wrzucało się do pieca, uważając by nic się nie zmarnowało. Bardzo uroczyście obchodziliśmy święto Trzech Króli - starsi chłopcy przebierali się, chodzili od chaty do chaty i pięknie śpiewali kolędy. Oprócz trzech króli kolędowni także diabeł, śmierć i Żyd - handlarz. Stroje mieli naprawdę prześliczne, gdyż pożyczali je od księży. Jako dzieciaki bardzo baliśmy się kolędników.

Tylko święta obchodziliśmy według kalendarza juliańskiego, resztę roku liczyliśmy już według „nowego” kalendarza.

Strój ludowy

Poszczególne wsie nie miały swoich charakterystycznych strojów, raczej regiony. My, ponieważ mieszkaliśmy blisko Krynicy, ubieraliśmy się zwyczajnie, jak Polacy. Jedynie w święta, zwłaszcza na Wielkanoc i w niedziele nosiliśmy inne stroje. Dziewczęta ubierały się w białe, haftowane bluzki i spódniczki, a chłopcy w bielusińskie spodnie. Moja mama miała granatową spódniczkę, bluzeczkę haftowaną ze stójką, przepiękny, wyszywany gorset z koralikami i do tego wełnianą chustę z wzorami - tebetilkę, wiązaną z tyłu.

Łosie to była najbogatsza wieś

Nasza wioska nie była ani zbyt biedna, ani zbyt bogata, ale Łosie to była najbogatsza wieś w okolicy. To był naród jak Cyganie - lubili handlować i bardzo dobrze na tym wychodzili. Jeździli po Polsce: do Katowic, do Krakowa. Nazywaliśmy ich maziarzami, śmialiśmy się z nich, ale wiodło im się nieźle - kobiety nie pracowały w gospodarstwie, gdyż mieli parobków, a one były „paniami”. Mimo, że wielu się z nich śmiało, oni nie przejmowali się tym, nawet po przesiedleniu odróżniali się od reszty i stali trochę z boku...

Niemieccy, rosyjscy i polscy żołnierze

Frontu u nas nie było, jedynie pod koniec zimy 1945 roku ponad półtora miesiąca stacjonowało u nas wojsko niemieckie. My dzieciaki, a było nas czworo, siedzieliśmy prawie cały czas w kącie na łóżku, gdyż resztę naszego domu zajmowali żołnierze. Niemcy brali zboże dla koni, już się nie liczyli z nami tak bardzo, wiedzieli, że przegrywają wojnę, ale agresywni w stosunku do nas nie byli.

Pograniczników myśmy bardzo szanowali, nie baliśmy się ich, ani oni nas. Przed wojną w naszej wiosce, jak w każdej przygranicznej, znajdował się posterunek KOP-u, w czasie wojny zajęli go Niemcy, ale ich się nie baliśmy... Bardziej Rosjan... wiecznie pijanych, brudnych, nasze dziewczęta uciekały, kiedy widziały, że żołnierze jadą wozem. Rosjan baliśmy się straszliwie, zaś Polaków - zupełnie.

Agenci rosyjscy namawiali do wyjazdu

W 1945 roku przyjechali do nas agenci rosyjscy i zaczęli namawiać do wyjazdu do Rosji, „gdyż tam jest raj”. Najczęściej zapisywali się ludzie z wiosek położonych kilka kilometrów od nas, przez które przechodził front, i których gospodarstwa zostały spalone. Agenci obiecywali, że w Rosji jest dobrobyt, po co mają się tutaj budować, lepiej już tam coś zająć. Zapisy były dobrowolne, ale jeśli już ktoś się zdecydował nie mógł się wycofać. Takiego człowieka oni mogli nawet zastrzelić.

Droga na Zachód

Następna fala przesiedleń to była akcja Wisła, wtedy już wysiedlali wszystkich. Ludzie spodziewali się wysiedlenia, ale myśleli, że dotyczyć to będzie tylko wiosek położonych blisko linii frontu i granicy polsko - czechosłowackiej. A okazało się, że etapami - wioskami wysiedlali wszystkich. Rzekomo powodem wysiedleń były działania UPA, które zabiły Świerczewskiego. Łemkowie jednak nie mieli żadnych powiązań z UPA. Bandy były ponoć w Bieszczadach, ale my o tym nie wiedzieliśmy.

Mieliśmy kilka godzin, żeby się spakować, choć niektórzy byli już spakowani, bo słyszeli o wysiedleniach innych wiosek. Z Regetowa wywieźli nas do Gładyszowa, tam mieszkaliśmy około tygodnia w domach wysiedlonych mieszkańców, potem przewieźli nas do Zagórzan, gdzie miał czekać nasz transport. To była gehenna, lał deszcz, a my mieszkaliśmy w namiotach, praktycznie w błocie przez ponad tydzień. Wreszcie podjechał pociąg, wsadzili nas do wagonów bydłych, razem ze zwierzętami. Pilnowało nas wojsko. Nie traktowali nas źle, chcieli pomóc, zatrzymywali transport tam, gdzie widzieli kupki siana, żebyśmy mogli nakarmić swoje zwierzęta. Na stacjach rozdawali ciepłe posiłki, najczęściej zupę.

Tata szukał dla nas domu

Po dwóch tygodniach przywieźli nas do Starego Kurowa. Tam był punkt rozdzielczy. Przyjechał do nas wójt Strzelec Krajeńskich z całą świtą. Przydzielali nas do okolicznych wiosek, w których mieliśmy szukać sobie mieszkań. Rodziny pozostawiano razem, czasem kilka naszych rodzin szło do jednej wioski. Nie wiedzieliśmy, gdzie będziemy mieszkać, czy będziemy mogli spotykać się z naszymi sąsiadami... Przywieźli nas do Starych Bielic, mama została w Kurowie i prowadziła krowy. Oj, to było chyba piętnaście kilometrów, jak nie więcej. Na miejsce przywieźli nas ciężarówką, zwalili nasz dobytek na boisko szkolne. Przez parę godzin musiałam pilnować nie tylko rzeczy, ale i trójki młodszego rodzeństwa - ja byłam najstarsza, miałam 13 lat, siostra była dwa lata młodsza, następny był Mikołaj, a najmłodszy brat Szymon miał 6 lat. Ojciec w tym czasie szukał dla nas domu. Wreszcie znalazł jakieś mieszkanie bez drzwi, okien, nawet podłogi nie było. Przez dwa tygodnie nie wchodziliśmy do środka, koczowaliśmy na podwórku, gdyż moi rodzice myśleli, że jeśli nie wejdziemy

do środka, nie zaczniemy tam mieszkać, to nas zabiorą z powrotem do naszego Regetowa, ale to okazało się już niemożliwe.

Zbliżała się jesień, zaczęliśmy więc remontować „nowy” dom. Ojciec poszedł do zburzonego sąsiedniego gospodarstwa, zerwał nikomu już nie potrzebną podłogę i założył ją u nas. Odpowiedział za to przed sądem, został skazany na dwa miesiące więzienia. Siedział we Wronkach. Doniósł na niego nasz najbliższy sąsiad.

Nasz majątek

Mieliśmy dwie krowy, konia, cielaczka oraz kozę. Krowy dawały dużo mleka, bo trawa była ogromna, siana można było nazbierać bez żadnego problemu. Mieliśmy mleko, z mleka wyrabialiśmy masło, brakowało jedynie chleba. Prawie całą jesień chodziliśmy pracować do gospodarzy w okolicy. Oni nie byli wcale bogaci, ale mieszkali tu rok, więc mieli już przynajmniej posiane zboże i posadzone kartofle. Pracowaliśmy u nich na kawałek chleba. Za pracę za maszyną dostawaliśmy ziemniaki. Też chodziłam z rodzicami. Na drugi rok staraliśmy się już jak najwięcej zasiać, zasadzić. Dostawaliśmy też chyba raz na pół roku paczki z UHFIS - y: mąkę kukurydzianą, cukier.

Na Zachodzie dostaliśmy siedem hektarów ziemi, tyle samo, ile mieliśmy w górach. Grunty były różnej jakości: piątej i szóstej klasy, troszkę czwartej - jakieś 30 arów, za mostem, tam mieliśmy ogród warzywny. W Starych Bielicach dobrej ziemi w ogóle nie było. Najgorszy był jednak brak mostu, bo prawie wszystkie pola i pastwiska były za Notecią. Pływał tam tylko prom, którym przewoziło się bydło, sprzęt, nawozy. Tak było aż do 1954 roku, kiedy żołnierze wybudowali most.

Sąsiad Ślązak z żoną Niemką

Kiedy przyjechaliśmy na Ziemię Odzyskane, Niemców już tu prawie nie było, pozostali tylko nieliczni, którzy albo nie zostali uznani za Niemców, albo, jak nasz sąsiad Ślązak i jego żona Niemka, tworzyli rodziny mieszane. Oni byli biedniejsi od nas, bo my mieliśmy przynajmniej bydło, a oni nie mieli dosłownie nic. Polacy dobrze wiedzieli, że Niemcy, którzy wyjeżdżali do kraju zostawiali swoim sąsiadom bogate mienie, zebrali więc w Bobrówku wszystkich z całego powiatu, którzy nie wyjechali do Niemiec. W tym czasie wyszabrowali doszczętnie to, co tamci pozostawili w domach. Kiedy więc tamci

wrócili do domów z bagażem podręcznym, był on jedyną własnością, jaka im pozostała. Żywiliśmy ich potem, my, których też wypędzono z własnych domów, ale moja mama zawsze dawała im mleko, masło. Żona naszego sąsiada była chora na gruźlicę i wkrótce zmarła. Sąsiad też nie był zdrowy, miał astmę. Odwdzięczali się nam, jak mogli - pomagali w polu, wiązali z nami zboże, brali udział w żniwach, ale ojciec też im pomagał - koniem poorał, kartofle posadził, bo mieli też kawałek pola.

Prześladowania grekokatolików

Po wysiedleniu Łemków Polacy zajęli nasze domy, poniszczyli nasze dobra, szczególnie ucierpiały cerkwie. Pozamykano też wielu księży grekokatolickich, część więziono w Jaworznie, wielu z nich zostało zamordowanych. Oczywiście nikt nie zmuszał ludzi do przejścia na inną wiarę, to były przecież czasy komuny, im zależało na niewierzących, jednak wiara grekokatolicka ucierpiała chyba najwięcej, do lat 80. była zabroniona, a księża i wierni prześladowani.

Stosunek księży polskich (rzymskokatolickich) do wiary grekokatolickiej, prawosławnej i ich wyznawców był różny. Mam ogromny żal do nich. Brałam ślub prawosławny w cerkwi w 1955 roku. Moja córka też była ochrzczona w cerkwi. Do szkoły podstawowej chodziła w Drezdenku. Bardzo dobrze się uczyła, miała wiele koleżanek, kolegów, uczęszczała na lekcje religii. Kiedy przyszedł czas komunii, ksiądz powiedział jednak, że nie może do niej przystąpić, bo nie ma ważnego chrztu. Nie mogliśmy zrozumieć, jak można znieważać chrzest, jaki by nie był. Musieliśmy ją powtórnie ochrzcić. Do dziś mam wyrzuty sumienia, że się na to zgodziliśmy, przecież podważyliśmy wiarygodność sakramentu, popełniliśmy ciężki grzech, ale myślę, że nie był to tylko nasz grzech, ale przede wszystkim tego księdza i on powinien postąpić inaczej.

Ja na spowiedzi nigdy nie mówiłam, że jestem wyznania grekokatolickiego, ale mój mąż, kiedy był jeszcze kawalerem, poszedł do spowiedzi i powiedział, że jest wyznania prawosławnego. Wtedy ksiądz stwierdził, że nie musi go spowiadać, bo on „takich ludzi nie spowiada” i odesłał do cerkwi do Wałcza. Tylko z pogrzebami nie było problemów i księża katoliccy chowali wyznawców grekokatolicyzmu i prawosławia na cmentarzach rzymskokatolickich.

To był szok, kiedy zamykano cerkwie. Łemkowie to naród bardzo religijny - na każdym polu, w każdym domu stała figura Matki Boskiej, czy krzyż z Panem Jezusem, w niedzielę nikt nie odważył się nawet pomyśleć o jakiegokolwiek pracy.

Ponadto w polskich kościołach jeszcze wtedy używano łaciny, i nikt nie rozumiał, to było bardzo trudne.

Wydawało nam się, że lepszego świata niż w górach nigdzie nie ma

Pod koniec lat siedemdziesiątych Łemkowie zaczęli wracać w góry, ale nie do swoich domów, one były już pozajmowane przez Polaków. Moi rodzice nie wrócili, bo ojciec powiedział, że do czyjegoś gospodarstwa nie wróci, a na budowanie nowego nie miał siły.

W górach życie jest ciężkie, ale tam człowiek żył z dziada pradiada i nam wydawało się, że lepszego świata nigdzie nie ma. Kiedy dzisiaj porównuję, to życie w górach jest na pewno cięższe, ale nie trzeba było Łemków tak brutalnie wyganiać, bo młodzi i tak by prawdopodobnie wyjechali, a ludzie pokolenia mojego ojca i starsi nie opuściliby swoich ojcowizn, ziemi prawie świętej. W górach mieliśmy swoją wiarę, język, nikt nie krępował się mówić po łemkowsku, nikt nikogo nie wyzywał, żyliśmy spokojnie, z radością. Po przesiedleniu wszystko się skończyło - nasza tradycja, zwyczaje. Tego, co żeśmy przeżyli nie da się opisać, szczególnie starsi tęsknili bardzo za swoją Łemkowyną, zadawali sobie pytanie o sens życia.

Teodozja Hoć, 67 lat

Moja ojcowizna to szumiący las

Urodziłam się w Śnietnicy nad rzeką Białą w 1937 roku, w nowo wybudowanym przez rodziców (Aleksego i Helenę Kaniuków) domu. Gospodarstwo nasze było dość duże, bo dziewięciohektarowe, położone bardzo malowniczo na górze, wśród lasów, ale życie tam nie było łatwe.

Oprócz pracy w gospodarstwie, tato wyrabiał skóry na kozuchy, na krosnach robił płótna, a mama szyla nam ubrania, a nawet kożuszki. W długie zimowe wieczory przędła len na kołowrotku.

Pamiętam mamy wyprawy do Krynicy na targ, gdzie sprzedawała masło, ser i śmietanę. Ja i mój starszy o dwa lata brat Włodek paśliśmy krowy i owce w lesie, gdzie było dużo zwierzyny. Wilki podchodziły nawet do zabudowań i zdarzało się, że porywały owce, a nawet psa.

Szkoła

Do szkoły mieliśmy daleko, bo dwa kilometry. Zimą ciężko było przebrnąć przez zasy śniegu, które były bardzo wielkie, a latem, po ulewach woda zabierała wszystkie mosty na rzece, a w Śnietnicy rzeka była bardzo duża, z dopływami ze Stawiszy, Czyrnej, Banicy, Czertyżnego, Izb i Bielicznej - skąd brała początek rzeka Biała.

Wojna

Z czasów wojny pamiętam jak Niemcy kopali okopy i bunkry. Pamiętam też zimowy dzień 1944 roku, jak samoloty leciały w kierunku Gorlic. Tato mówił, że to Ruscy bombardują jakąś fabrykę w Gorlicach. W tym samym dniu Niemcy opuścili okopy. Wojna, a szczególnie późniejsze przeżycia, utkwily w mojej pamięci tak bardzo, że nawet w snach przeżywałam to na nowo, już jako dorosła osoba. A zdarzyło się tak, że w nocy wstałam we śnie, wybiłam łokciem szybę, a brzęk tłuczonego szkła obudził mojego męża. Chwycił mnie za rękę i pyta: Co ty robisz?! A ja, obudzona, mówię: Uciekam, bo śniłam, że mieszkam w rodzinnym domu, a tam przychodzi wojsko...

Rodzice myśleli, że będzie bezpieczniej

Nie pamiętam, który to był rok, kiedy przyszedł do nas mój kuzyn, Piotr Stawiski i powiedział rodzicom, że siostra taty, Paulina, nie żyje, bo zastrzelił ją zastępca komendanta policji, ale pamiętam rozpacz rodziców, a szczególnie ojca. Płakał, bo stracił siostrę, która osierociła czworo dzieci, z których najmłodsze miało dwa lata. Niedługo po ucieczce Niemców, wojna się skończyła i rodzice myśleli, że będzie bezpieczniej, ale było jeszcze gorzej, bo zaczęła grasować partyzantka. Rabowali wszystko, przede wszystkim żywność.

Polskie wojsko ścigające partyzantów było dla nas bezlitosne. Pamiętam, że jednego razu pobili mojego ojca, a mama płakała, bardzo płakała, bo bała się o życie - nie tylko taty, ale i nasze. Mama wtedy powiedziała, że musimy się wyprowadzić do wsi, bo tam są wolne domy po ludziach wysiedlonych na wschód. Wtedy ojciec poszedł do Gminy i przydzielono nam dom po Janie Kuźmiczu. Nasze wysiedlenie odbyło się w dwóch etapach: jeden z rodzinnego domu w roku 1946, a drugi z rodzinnej wsi w roku 1947.

Tato nie mógł się odnaleźć w pegeerze

Akcja „Wisła” przygnała nas w czerwcu 1947 roku na ziemie zachodnie do miejscowości Czyżewo w powiecie Strzelce Krajeńskie. Ojciec pracował w pegeerze, a ja ze starszym bratem Władkiem, młodszą siostrą Marysią i bratem Sławkiem chodziliśmy do szkoły. W grudniu 1947 roku moja mama urodziła bliźniaki - Lubę i Mikołaja. W Czyżewie nie mieszkaliśmy długo, bo mój tato - jak większość gospodarzy - nie mógł odnaleźć się w pegeerze. Po roku przeprowadziliśmy się do Wełmina w powiecie strzeleckim. Tam zamieszkaliśmy w domu Nadleśnictwa Wilanów, gdzie tato podjął pracę jako robotnik leśny, a ja i rodzeństwo chodziliśmy do szkoły w Wełminie. Tylko do klasy piątej, szóstej i siódmej dojeżdżaliśmy do Górek Noteckich, odległych od Wełmina o dziesięć kilometrów.

Z nadleśnictwa rodzice przeprowadzili się na ośmiohektarowe gospodarstwo, które kupili od Muszyńskiego, również w Wełminie i ojciec pracował nie tylko w lesie, ale i na gospodarce.

Moje dorosłe życie zaczęło się w roku 1954, kiedy to w dzień Zielonych Świąt brałam ślub z Dymitrem Hociem - również ze Śnietnicy. Nasz ślub był pierwszym w nowo otwartej cerkwi prawosławnej we wsi Brzoza. Ślubu udzielał nam ksiądz Mikołaj Poleszczuk, który miał nie tylko piękny głos, ale i był bardzo dobrym księdzem. Po ślubie zamieszkałam w domu mojego męża, w Przyłęgu.

Góry

Moje miejsce urodzenia odwiedziłam w 1981 roku. Tam, zamiast mojego rodzinnego domu, szumiął trzydziestoletni las i z trudem odnalazłam sklepienie piwnicy, studnię i kilka owocowych drzew.

Po powrocie z frontu na Łemkowszczyźnie żywot był ciężki

Zarówno mój dziadek i ojciec byli na froncie pierwszej wojny światowej. Po zakończeniu wojny powrócili do domu, ale tak naprawdę to wojna się nie skończyła, bo Polacy walczyli z Ukraińcami o Lwów. Po powrocie z frontu, dziadek został wybrany na wójta i dowiedział się, że na drugi dzień przyjdą żandarmi zabierać młodych ludzi, którzy wrócili z frontu, na wojnę z Ukraińcami. Kiedy przyszli, to ojca już nie było, bo uciekł w nocy na Węgry. Ukrył się przed tym, aby nie walczyć z Ukraińcami. Jak poszedł przez Czechy, zatrzymał się gdzieś u jakiegoś Czecha i przez cały rok pracował za jedzenie. Po roku wrócił i już było spokojnie. Takich chłopców wtedy było dużo. Ojciec, rocznik 1898 nazywał się Jan Hoć. Dziadek Mytro, opowiadał o włoskim froncie, jak ciężko było po górach, gdzieś tam chodzić podczas walk. Wspominał kilkoma słowami po serbsku, a mnie interesowało, jaki to język, czy podobny do naszego? Stwierdziliśmy, że całkiem tak, jak się wsłucha. Od razu nie można powiedzieć, że łatwo się rozumie, ale słowa są jednak podobne po osłuchaniu się: Haj dy mojj kuci! Chodź do mojego domu! U nas kuczą nazywano miejsce dla świń.

Lekko nie było. Po powrocie z frontu na Łemkowszczyźnie żywot był ciężki. Rozparcelowanie ziemi, duży przyrost naturalny. Trzeba było przeprowadzić komasację. W Śnietnicy zakończyła się w 1935 roku. Po tym poprawiła się kultura upraw, bo skomasowane, małe działki zamieniły się w duże. Łatwiej było je uprawiać. Poprawiło się życie na tyle lepszym gospodarzom, którzy mieli więcej ziemi, że potrafili więcej wyprodukować zboża. Spichlerze były pełniejsze. Zaprzeszono rąbania chatyny - gałęzi drzew iglastych na ściółkę dla zwierząt. Zaczęto używać słomy, a gnój z tej słomy dawał lepszą wydajność jako nawóz. Gałęzie tylko zakwaszały glebę. Wydajność z hektara wzrastała. Do tego przyczyniali się Żydzi, bo chcąc wydzierżawić pastwiska dla swoich krów, to za to dawali żużle, taki nawóz. Tak nauczyliśmy się gospodarzyć nowymi sposobami. Żużla była nawozem azotowym, sprowadzanym z Belgii. Jak się ją posiało, to wszystko rosło duże. Zawsze brakowało pieniędzy, to nawozów się nie kupowało, bo to wszystko kosztowało. Nie potrafiono też prowadzić hodowli. W naszej rodzinie dopiero w 1938 roku zaczęto hodować po trzy świny rocznie. To można było zabić i jeszcze coś sprzedać. Wcześniej o tym, że świny można karmić

zieleniną, nie mieli u nas pojęcia. No, gdzieżby na takiej trawie wyrosły? Karmiono ziemniakami i śrutą. Teraz na Zachodzie, to byle czym się karmi i wszystko rośnie jak trzeba.

Po komasacji przybyło bardzo dużo nowych domów. Ludzie, którzy budowali się poza wsią - młode małżeństwa podostawały swoje działki. Ten podział był po komasacji do II wojny.

W Śnietnicy był stary żelazny krzyż z 1864 roku. Po wysiedleniu Polacy usunęli go. Śnietnica miała swoje osiedla: Watralówkę. Takich miejsc było dużo. Ich nazw używano jeszcze przed komasacją pochodziły od ról. Każda rola dzieliła się na kawałki.

To była gmina

We wsi nie mieszkał żaden Cygan. Mieszkali pod Czarną, ale ta ziemia należała jeszcze do Śnietnicy. Mieszkało ze cztery rodziny. Żydów to było sporo. Było z dziewięć chyż żydowskich. Dwóch krawców, reszta trudniła się handlem. Mieli sklepy. Chodziło się do Żyda, do szynku. Żadnego innego kulturalnego miejsca we wsi nie było. Jak ktoś miał pieniądze, to tam się spotykali. Byli tacy, którzy też okradali w nocy Żydów. Ze Stawiszy często przychodzili do Żyda, bo zawsze było im po drodze - jak szli z Grybowa. Przychodzili z Izb - to była gmina, duża wieś. Na lewo była droga do Stawiszy. Prosto: do Izb, Czertyżnego, do Banicy - na prawo do Czyrnej. Stamtąd wszyscy przychodzili do Śnietnicy, bo szli przez Brunary, Piorunkę do Grybowa.

Ludzie najczęściej spotykali się więc u Żyda. W czasie wojny spotkań nie było, bo ludzie wyjechali do Niemiec. Towarzyskie spotkania odbywały się też wieczorami. Ludzie posiadali sobie wzdłuż fosy i rozmawiali, żartowali. Były też wieczyrki. Jak przyszła zima, młodzież zawsze jakieś rozrywki sobie wynajdywała. Ja zapamiętałem najbardziej czas okupacji, gdzie rozrywki były zabronione. Policja zwalczała schadzki, spotkania. Taka była dyscyplina.

Drogo trzeba było za nią zapłacić, żeby dostać się do tej Ameryki

Stryj ojca, Hilary Maliniak urodził się w roku 1886 w Czarnej. Pojechał jako kawaler do Ameryki. Był tam kilka lat. Zarobił pieniądze i wrócił. Opowiadał o szyfkarcie, bilecie na statek, jak to drogo trzeba było za nią zapłacić, żeby dostać się do tej Ameryki. Trzeba było sprzedać dwa woły. W Ameryce, jak wysiedli ze *Szyfa*, tak nazywali statek, nie znali języka. Trzeba było gdzieś się ruszyć, a języka, ani w ząb. To był ciężar.

Szedł drogą i zobaczył, jak jakiś farmer kopie rów. Zrozumiał, że może on da mu jakąś pracę, żeby chociaż zarobić na jedzenie. Jak ruszył w jego stronę, to ten farmer wystraszył się i uciekł. Stryj wtedy złapał za tą porzuconą łopatę i do roboty! Farmer widzi, że on szuka pracy, wrócił się. Tak pomału, pomału rozpoczął to życie, gdzie przepracował kilka lat. W końcu znalazł się w kopalni, w Pensylwanii. Został prawą ręką kierownika kopalni.

Stryj ojca był analfabetą, nie mógł stamtąd na początku napisać. Tam postanowił nauczyć się sam, po to, aby skontaktować się z rodziną. Sąsiad dziadka Hilarego, Joachim Pacan tak się potrafił nauczyć angielskiego, że był księgowym w kopalni. Widać, był człowiekiem zdolnym. Jednak też wrócił potem do kraju. Stryj ojca wrócił po kilku latach do Czarnej. Przywiózł jakieś zarobione pieniądze i ożenił się w Śnietnicy z wdową Justyną Hoć z Chomiaków. To była moja babka. Wdowa po Mytrze Hociu, który umarł młodo na gruźlicę. Z tego małżeństwa urodziło się dwoje dzieci Jan, mój ojciec i ciotka Paraska. Dziadek Maliniak z babcią miał dwóch synów: Andrzeja i Włodzimierza. Andrzej wyuczył się na księdza i dostał parafię w Komarnie na Ukrainie, koło Lwowa. Uczył się w Nowym Sączu, Przemyślu i w Sanoku. Z tym były związane wydatki, tylko on się dobrze uczył. Miał po ośmiu uczniów, którym udzielał korepetycji. W Komarnie wybudował cerkiew i tuż przed wojną zmarł. Nie pamiętam tylko czy to był marzec 1938, czy 1939 roku. Pochowano go w Komarnie. Po latach, kiedy byłem w Stanach Zjednoczonych spotkałem znajomego stryja z Komarnego. Spotkałem go w ukraińskim banku, w Chicago w 1980 roku. Dużo opowiadał mi o życiu mego stryja, księdza. Stryj był świetnym organizatorem. Ukraińców, którzy już przeszli do kościoła, z powrotem przyciągnął do cerkwi. Tak, że potem nie mogli się pomieścić w cerkwi, dlatego wybudował cerkiew. Na pogrzeb pojechał ojciec. Mielśmy zdjęcia. To był wielki pogrzeb. Ten napotkany człowiek nazywał się Leszczyński i w czasie wojny, z ramienia OUN, był delegowany do Gorlic, do organizacji, która zajmowała się kulturą życia Łemków. Na Łemkowszczyźnie organizowano szkoły z ukraińskim językiem nauczania, kooperatywy, czyli sklepy. W 1936 roku i potem do 1939, kiedy zacząłem chodzić do szkoły, to w Polsce nie było języka ukraińskiego w szkole. Uczyli nas przeważnie polscy nauczyciele.

Daj krowę za pogrzeb!

Mój ojciec najpierw poszedł wozić drzewo na budowę cerkwi prawosławnej. Pomimo tego, że jego brat Andrzej uczył się na księdza greckokatolickiego i miał już nawet pierwsze święcenia. Przyjechał i mówi mu: Bracie, gdzie Ty idziesz? Ojciec na to mu odpowiada, że greckokatolicki ksiądz bardzo nadużywa władzy. Jak umarł ojca szwagier, to siostra ojca poszła do księdza prosić o pogrzeb, to on jej mówi: Daj krowę za pogrzeb! *Ona mu na to: No, to jak? Ja, wdowa mam trzy krowy, to jedną mam dać za pogrzeb? Ksiądz jej odpowiada: Daj, a Bóg będzie Cię błogosławić! Wróciła stamtąd, poszła do ojca no, i mówi: Zobacz, co on chce? Krowę za pogrzeb.* To ojciec wziął kij i poszedł tam z nią. Na podwórku zaatakowały ich psy. Jak dostał jeden, drugi, to odskoczyły! Ksiądz widział to przez okno i uciekł. Tato chciał z nim rozmawiać, to mu powiedzieli, że go nie ma. Ojciec był gotów mu przyłożyć. Od tego się zaczęło. Były nadużycia wielkie przez księży. To było takie niehumanitarne i wtedy ludzie zaczęli się buntować. Przypominam sobie, że Sofron Krynicki zabrał się i pojechał gdzieś na Ukrainę, i znalazł nowego księdza. Sprowadził go do Śnietnicy. Zbudowali cerkiew i wtedy to powstała cerkiew prawosławna. Tylko dokładnie tego nie wiem, kiedy, ale to musiało być przed komasacją. Gdzieś w latach 1925 do 1930. Wtedy moja rodzina pomogła zbudować cerkiew prawosławną, ale jednak tam nie poszli. Zostali przy cerkwi greckokatolickiej. Po pierwsze: ze względu na księdza w rodzinie, a po drugie: tego księdza wymienili w Śnietnicy. To był Huk, a potem przyszedł Koroll. W międzyczasie był jeszcze jeden, ale krótko. Zapomniałem jak się nazywał. Ten Koroll już był do naszego wysiedlenia. Po wysiedleniu też podobno koło Wrocławia dostał jakąś katolicką parafię. Zrobił się podział religijny pomiędzy ludźmi. Taka wojna, bo prawosławni chcieli zabrać chociaż jeden dzwon, to Ci im nie dawali. Pilnowali, żeby nie ukradli. A to chorągwie, a to Ewangelię, szaty liturgiczne, sutanny. Tym, co należało do cerkwi, prawosławni chcieli się podzielić, a druga strona nie dawała. Potem, powoli wszystko się uspokoiło. W czasie wojny, przed naszym wysiedleniem to wszystko się ustabilizowało na tyle, że akurat deportacja na Ukrainę, rozprężyła to wszystko. Po pierwsze: zrobiła to wojna. Zabrała ludzi do Niemiec, na roboty. To było masowe.

Nie dał się wywieźć do Katynia

Do szkoły poszedłem w 1936 roku. Nauczycielem był Polak, my Łemkami. Trudno było go zrozumieć. Nie umieliśmy mówić po polsku, no to nauczyciel mówił: *Po rusku już umiesz, to powiedz teraz po polsku*. Obok mnie siedział Władek Kowalczyk, to się śmialiśmy. Zamiast *jeden dodać jeden* mówiliśmy: *jedzien dodać jedzien*. Od tego się zaczynało, ale co mógł, to nas nauczył. Potem dostał kartę powołania. Wtedy, jak zaczęła się wojna. Jak dostał telegram, byliśmy w klasie. Listonosz mu przyniósł. Nauczyciel przeczytał, zaraz opuścił klasę. Wrócił po pięciu, nie dłużej niż dziesięciu minutach w mundurze. To był oficer wojska polskiego w stopniu porucznika. Nazywał się Michał Obrzut, pochodził z Białej Niżnej. Pożegnał się z każdym. *Idę na wojnę!* Mówił. Uciekł Rosjanom, nie dał się wywieźć do Katynia. Wrócił do Śnietnicy, do Piotra Stawiskiego. Mieszkał tak za wodą, na przebudowie, za wsią i przez całą wojnę tam się ukrywał. Piotr go przechował. Po wojnie wrócił do Białej Niżnej.

Jak przyszli Niemcy, wprowadzili nauczanie języka ukraińskiego w szkole. Uczyła nas nauczycielka, córka naszego księdza Korolla. Potem uczył nas nauczyciel. Pochodził z Wysowej. Był na wschodzie. Ożenił się tam z Ukrainką spod Lwowa.

II wojnę światową zapamiętałem tragicznie. W pierwszy dzień do Śnietnicy o godzinie drugiej po południu przyjechało polskie wojsko dwoma samochodami. Obejrzelі wieś. To było gdzieś we wrześniu. Potem, jak zaczęło wojsko maszerować, to cała droga była pełna żołnierzy. Nasz dom wybrali na sztab. W stodole zrobili skład amunicji. Zawalili ją samymi skrzyniami. Mielіśmy nową chyzę, to nas zgonili do jednego pokoju i kuchni, a trzy pokoje zabrali do dyspozycji sztabu. Nas było dziesięć osób, ale nie wszyscy byli w tym czasie w domu. Ja pasłem krowy. Na wieczór już nie przygnałem stada do domu, bo mi nie pozwolili. Tylko mogłem wygonić do lasu, bo coś się działo. Nocowałem w lesie pod drzewem. Tak to wszystko się rozpieczęło. Tylko młodsze rodzeństwo i mama spali na słomie, gdzieś w stodole nad stajnią, bo cała stodoła była zajęta. Wszyscy nadśluchiwali. W nocy o dwunastej przyszedł rozkaz. Nagle wszystko ładują na wozy, na samochody. O pierwszej godzinie po północy szli żołnierze i podcinali słupy telefoniczne. Po prostu podcinali je i one padały, przecinali też druty i to wszystko. Ta okupacja trwała kilka godzin. Gdzieś od czwartej po południu nasze podwórze było już zajęte, do godziny dwunastej w nocy. Wojsko przyszło, przeszło na wschód

i nic więcej. Rano wybiegłem na drogę, patrząc: druty, ale nie były przecięte. Więc, ja po obcęgach i z drugiej strony złapałem za drut, i przyciągnąłem go do podwórka. Patrząc, a Grzegorz Basałyga robi to samo. Jan Koban też. Drut wtedy był dla nas na wagę złota, bo metalu nigdzie nie było. Ktoś potem te słupy pozabierał. Chłopi je popalili i na tym koniec. Przypomniało mi się, że te słupy telefoniczne to podcinali Niemcy. Jak Andrzej Basałyga wrócił z wojska, to były u nas słupy.

Polskie wojsko przeszło. Niemców nie ma. Dopiero za dwa tygodnie przyjechało pięciu Niemców konno. Pamiętam ten dzień. To było w południe, było błoto. Porozglądali się. Antoni Moskwa miał sklep. Stanęli tam. Antoni wyszedł, był na pierwszej wojnie światowej. Starszy od mojego ojca, co najmniej dziesięć lat, czyli był gdzieś z 1875, może 1874. Z czasów tamtej wojny znał język niemiecki. To wszystko była komenda austriacka. Ja wtedy zrobiłem takie oczy, jak on po niemiecku z nimi rozmawia. Pogadali sobie. On im coś wytłumaczył i poszli w kierunku Stawiszy i Hańczowej. Pytali się o Hańczową i tyleśmy niemieckich żołnierzy widzieli. Nic więcej, a okupacja niemiecka trwała. W Gorlicach na rynku Niemcy zbudowali na słupie taką tablicę. Na niej każdego dnia rysowali krechy, które niemiecki front przechodzi. Ta tablica to była wtedy, jak ruszyli Niemcy na Rosję, czyli rok później, tu trochę wyprzedziłem opowiadanie.

Muszę wrócić do 1939 roku, kiedy odbywała się mobilizacja naszych na wojnę. U nas była gmina i policja. Przyjeżdżały samochody, to wtedy lecieliśmy oglądać. Dla nas to było coś nowego. Polskie wojsko przeprowadziło taką mobilizację, że zabrali ze wsi, nie wiem dokładnie ile, ale dużo osób. Onufrego Stawiskiego, mojego wujka, kogo więcej, nie pamiętam, ale zabrali młodych mężczyzn. Przypominam sobie, jak opowiadał Piotr Stawiski. Miał wóz wojskowy konny i przez dzień i noc jechał drzemiąc. Dzień i noc. Uciekali, bo Niemiec poruszał się bardzo szybko. Jak zabrali naszych do wojska polskiego, to była dywizja podhalańska. Ci ludzie uciekali przed Niemcami, bo gdzie opór postawili, to Niemcy ich rozgromili. I tak posuwali się dalej, i dalej. Z tamtej strony Ruscy zrobili tak samo i w końcu spotkali się gdzieś na Sanie. No i podzielili Polskę na dwoje. Ze Śnietnicy Ci, którzy poszli na polski front, wszyscy powracali. Nie pamiętam dziś, żeby któryś nie wrócił. Pamiętam jak opowiadał Andrzej Basałyga, jak już gdzieś na terenie Ukrainy kontrolowali go Ukraińcy za to, że jest Polakiem. Andrzej im powiada: *Co? Ja Polak? Nie, ja Rusnak*. To oni mu na to: *Jaki ty Rusnak? Znasz „Otcze nasz”?* A on im

odpowiada: *Co „Otcze nasz”?* To ja i „*Pomyśl nia Boże*” znam. Jak tak powiedział, to Ukrainiec poklepał go po plecach i mówi: *O, to ty lepszy Ukrainiec jak ja*. Tak, że Polaków przegonili przez wodę, a jemu kazali iść mostem.

Aleksy Watral był wysokim, przystojnym mężczyzną. Przyszedł do niego oficer, to było gdzieś na wschodzie i powiada: *Wiesz co? Zamień się ze mną na mundur*. Ten miał mundur szeregowca, a tamten oficerski. Pójdiesz tu lasami, tu cię nikt nie złapie. On się zamienił, pagony pościągali i wpadł Ruskim w ręce. Ruscy wtedy do Katynia zabierali polskich oficerów. Widzą, że to oficerski mundur z gabardyny, a nie ze zwykłej wełny. I dawaj go do wagonu, do polskich oficerów. Jeden go wpycha do wagonu, a drugi NKWD - zista: *Podażdi! A pokaż ręce!* Ten pokazał ręce, a to były ręce chłopca. Spracowane tak, aż popękane! Powiedział mu: *Ty pizda, nie oficer! Uciekaj stąd! Ty wiesz, gdzie byś trafił?* I co z tego? Potem złapali go Niemcy. Zabrali do kamieniołomu i tam był jeńcem polskim przez trzy lata. Potem wrócił.

Uciekali na Zachód, jak Ruscy ruszyli

Na początku, w pierwszym roku to jeszcze Arbeitsamt przyjmował dobrowolnie. Zgłaszali się tacy, którzy nie mieli co tu robić, a szukali zarobku. Takich było dużo. Potem trzeba było iść przymusowo. Gminy dostawały rozkaz, że tyle i tyle ludzi w danym miesiącu należy oddać do Arbeitsamtu, na roboty do Niemiec. Co z tego, że trzeba było wyznaczyć we wsi dziesiętników, którzy odpowiedzialni byli za dostarczenie ludzi, ile narzucili Niemcy z danej wsi. To było najgorszą tragedią. Ludzie na swoich musieli robić nagonkę. To ściganie było okropne. Mój kolega, Wasyl Boczniewicz jak widział, że dziesiętnik z policją idzie po niego, bo wcześniej pies zaszczeakał, to on szybko wyskoczył na strych i miał tam przygotowaną w szczycie deskę, która trzymała się tylko na górnym gwoździu. Dolny był wyciągnięty. To była zima. Skoczył z góry do śniegu. Była zamieć, śnieg go zasypał, a oni poszli, bo go nie znaleźli. Za tydzień policja złapała go na ulicy i zabrali go. Nie wrócił do domu. Chyba coś z nim się w czasie wojny stało. Te łapanki do Niemiec dały się bardzo odczuć. W Gorlicach okrążyli Niemcy rynek i tego, kto im się podobał, zabierali.

Pamiętam zimą była śnieżycą. Tak zawało drogi, że trzeba było odgarniać śnieg, żeby przedostać się przez wieś. Ukraińska policja za Niemców pilnowała, bo mieli wywozić Żydów ze wsi. Zagonili ludzi

do odgarniania śniegu. Między innymi mnie. Jadą sanie za saniami: Żydzi z Izb, z Banicy, z Czertyżnego, ze Stawiszy przez Śnietnicę. Przejeżdżali koło nas, ustępowaliśmy im drogi. Michał Porucznik wziął śniegu na łopatę i rzucił na Żyda. To policjant wziął go za kołnierz, wyprowadził, bo akurat to było naprzeciw żydowskiej chyży i za tą chyżą, dał mu w skórę. Tego robić nie wolno! W każdym razie, pilnowali ich i nie dali im zrobić wtedy krzywdy. I tak pomału, pomału wywieźli wszystkich do Bobowej. No, a potem rozstrzelali.

W jedną noc policja z Uścia przysłała i zabrała wszystkich Cyganów koło Czarnej pod Brunarami też rozstrzelali wszystkich. Mieli wykopany tam dół. Nie wiem, kto im tam wykopał. Wywieźli i rozstrzelali wszystkich Cyganów.

Koniec wojny był tragiczny. Przez naszą wieś, przez siedem dni i nocy przechodził front. Na Przełęczy Dukielskiej, koło Grabu był około siedmiu miesięcy. Przez Śnietnicę przechodziło niemieckie wojsko. Uciekali na Zachód, jak Rusczy ruszyli. Szli przez dzień i noc, cali przemoczeni. Jak wpadli do kuchni, to zabierali, co popadło. Jak konia nie schowano, to nie było mowy, żeby został w stajni. Zabierali. Przyszedł niemiecki oficer do nas i każe otworzyć stajnię. Zabiera krowę i koniec. Akurat w domu było pięciu Niemców, którzy przyszli wcześniej i prosili, żeby mama nagrzała wody. Chcieli się umyć i ogolić. Już się umyli. Jeden tylko jeszcze się golił. Ja przyszedłem do domu i mówię, że zabierają nam krowę. Jeden z nich popatrzył, chwycił za karabin. Dopiął mundur i wyszedł. Odebrał mu krowę na podwórku. Powiedział, że oni pierwsi zajęli to gospodarstwo. Musiał to chyba być jakiś Ślązak, bo kazał nam za deski schować krowy. Wyprowadziliśmy krowy i konia ze stajni za stodołę i okryliśmy słomą. To było w grudniu 1944 roku. Pamiętam, że Rosjanie szli równinnymi drogami, a Niemcy musieli przepychać się górami. Jak przeszli ze Śnietnicy do Florynki, na Grybów już nie poszli, bo tam byli Rusczy. Niemcy poszli przez Polany, Berest w kierunku Krynicy, Huty, a tamtędy też szli Rosjanie. Tam doszło do starcia. Przez godzinę czasu strzelali do siebie. Potem wszystko ucichło. Rosjanie poszli dalej. Potem przyszli inni Rosjanie pozbierać trupy. Do nas przyszli Niemcy kopać okopy, gdzieś w 1944 roku, w maju. Przyszło dużo wojska. U nas były trzy linie okopów. Zwołano bardzo dużo naszych ludzi. Z różnych wsi. Trzeba było iść do roboty, podbić *Arbeitskarte*. Jak nie była podbita, to Niemcy zaraz szli i szukali. Z każdego domu szli wszyscy, zdolni do pracy. Zostawały tylko matki z dziećmi. Z naszego domu szedłem ja, ojciec i dziadek. Nie było dnia przerwy. Ojciec pracował przy transporcie drzewa. Rano

kucharz dawał bochenek chleba na trzech, a czasami na czterech. Dawali jeść, bo ludzie byli z różnych wsi. Była kuchnia. Po pracy szedłem do domu, ale ci z daleka, dostawali jakąś kawę, zupe. Te okopy ciągnęły się po kolei, od Florynki, przez Brunary po Śnietnicę do Banicy, do Izb. Z tego, co się potem dowiedziałem, aż do samej granicy. Całą linią. Potem jeszcze się dowiedziałem, że ciągnęły się do Mochnaczki, w kierunku Huty i jeszcze dalej. Za Krynica podobno też kopali. Jak już bili się koło Grabu z Rosjanami, to mówili, że trzeba jeszcze budować linie oporu.

Delegaci przychodzili wtedy i namawiali do wyjazdu

Pamiętam, jaka to straszna zima była, kiedy ludzie wyjeżdżali na Ukrainę. Wielki mróz, zima prawie stulecia. Okna tak były grubo zamrożone, że jak podmuchałem to przez takie „małe oko”, widziałem jak delegaci wieźli ludzi do pociągu. Delegaci przychodzili wtedy i namawiali do wyjazdu. To była straszna decyzja, wyjeżdżać w taką zimę. Widziałem, jak konie ciągnęły sanie. Na saniach ludzie ze skrzyniami. Konie tak były oszronione od mrozu, że nawet oczu nie było im widać. Dlaczego jechali wtedy w taką zimę? Za mało pamiętam. Nie wiem, jaka wtedy to była agitacja. Pamiętam agitację już po wojnie, jak przychodzili delegaci, którzy agitowali ludzi, żeby jechać na Wschód. Zastraszali nas. Byłem na takim zebraniu, na którym było dwóch polskich delegatów i jeden radziecki. Ten Rosjanin wyciągnął swój pistolet, położył go dla postrachu na stół i mówi, że trzeba iść zamieniać owies na pszenicę. Nie pojedziesz na Wschód, to pojedziesz na Zachód. Tu i czapka po tobie nie zostanie! Mówił. I tak się stało. Dobrze wiedzieli, na czym rzecz polega. Umowy już były podpisane pomiędzy Polską, a Związkiem Radzieckim. Ci delegaci nagabywali nas kilka razy.

Ostatnim razem, przed Wielkanocą chyba to było w 1946 roku, zrobili zebranie w Śnietnicy. Na drugi dzień mieli zaplanowane w Izbach i w Banicy. Musieli gdzieś przenocować. Zanocowali u mojego sąsiada, Antoniego Moskwy. Przyszedłem tam do kolegi Władka. On podsłuchuje ich pod drzwiami. W pokoju rozmawiali z gospodarzem. Nie wiedziałem, dlaczego to robi. On dobrze wiedział, co robi. Potem zawołał mnie, poszliśmy na dwór. Usiadł na rower. Nowy rower. Pytam: Skąd ty masz taki rower? Nikomu ani słowa! Odpowiada. Usiądź na górcie i obserwuj, kto tu się będzie kręcił. I pojechał gdzieś tym rowerem. Nie wiedziałem, co się święci.

Partyzanci na nich zaczekali między Banicą i górami

Na drugi dzień był nasz Wielki Czwartek. Robiliśmy już w polu prace wiosenne. Przyszedłem, dałem koniom obrok i wyszedłem na drogę. Słyszę, za naszą wsią, pod Banicą strzały. Jakaś strzelanina. Patrzę, nieopodal była milicja i nagle milicjanci biegną z karabinami. Gdzie słyszałeś strzały? Pytają mnie. Ja na to: *Gdzieś pod Banicą*. No, i pobiegli. Nie wiedziałem, że delegaci pojechali do Banicy. Potem zaraz przyszedł sołtys i ogłasza: *Wszyscy mężczyźni na drogę!* Z każdego domu gospodarz musiał wyjść na drogę. Ogłosili takie ostre pogotowie. Nadszedł wieczór. Na górnym końcu wsi, w kierunku Banicy był szynk. Miał go Jarosław Kieleczawa.

Wyszedłem z Piotrem Pacanem pod okna szynku. Patrzymy, a tam jest komendant naszej milicji - Łukaszewski i szeregowy milicjant Władek Liszka. Komendantowi na kolanach siedzi jego córka - Stefka i wyciera mu z czoła co chwilę pot, bo tak mu rosa wychodziła. Komendant opowiadał *To była tragedia, ale przeżyliśmy*. Z ciekawości pobiegłem wtedy stamtąd w dół wsi i mówię mężczyznom stojącym obok milicji, że komendant już wrócił i jest w szynku u Kieleczawy. Wszystko się potem wyjaśniło, że delegaci pojechali do Izb i do Banicy robić zebranie. Jak wracali z powrotem, to partyzanci na nich zaczekali między Banicą i górami. No i tam ich zatrzymali. Komendant od Kieleczawy przeszedł potem z tym milicjantem na posterunek i pozostałym milicjantom wszystko opowiadał, a ja wskoczyłem na ławkę pod oknem i słuchałem. Komendant mówi tak: *Jedziemy sobie spokojnie*. Coś jeszcze po drodze wypili, tam gdzie było zebranie. Było dwóch delegatów polskich, jeden radziecki i dwóch milicjantów do ochrony. Razem było ich pięciu. Nagle, z tyłu usłyszeli strzały z automatu. Oni do tyłu, a tu strzały! Do przodu, to samo! Padają strzały z jednego boku, drugiego! Wychodzą z lasu partyzanci. Zaraz tam blisko była rzeka. Ręce do góry! Ruski delegat zeskoczył z wozu. Tam było takie drzewo, co się wbiło w ziemię, jak chłopci wozili i on pod to drzewo poszedł, złapał za broń i wystrzelił. Pokazał, że ma broń. Wyżej, był okopany partyzant i go zastrzelił. Tak o wszystkim opowiadał komendant. Partyzanci zabrali tych dwóch polskich delegatów i dwóch milicjantów. Przepędzili ich przez rzekę. Po drugiej stronie tej rzeki była gajówka, gdzie gajowy wypisywał kwity. Taka budka. Wzięli ich tam. Komendantowi zabrali karabin. Władek Liszka miał taki niemiecki automat, to mu zabrali. Komendant bardzo prosił, żeby mu tego nie

robili: *Wybaczcie mi, ale moja służba mi na to nie pozwala! Będę walczył o ten karabin! No dobra! Ty masz dobrą opinię wśród Łemków, to ci karabin oddamy!* Tak to mu karabin oddali, tylko Liszce zabrali automat. Miał takie buty oficerki, to też chcieli mu zabrać. Już teraz nie pamiętam, czy wypuścili go w onucach, ale wiem, że bardzo się bronił przed tym. Kto z ludzi widział tamto zdarzenie, nie wiem.

Woźnica, który wioził trupa, był chyba z Izb. Podobno jakaś kobieta przechodziła tamtędy i to widziała. Komendant jak wszystko opowiedział, a był taki trochę jakby podpity, więc się mu bardzo dobrze mówiło. To wszystko słyszałem jako pierwszy świadek z jego ust, więc jestem pośrednim świadkiem. Cudów nie ma. Na tym to się przed posterunkiem skończyło. Potem wyszedł milicjant i rozporządził tak, że ośmiu ludzi rozstawił na warcie we wsi. Ja między innymi z tymi ludźmi zostałem i byłem na tej warcie do rana. Wszędzie było cicho i spokojnie. Przyszedłem nad ranem do domu i położyłem się spać. Miałem takie polowe łóżko przy oknie, to widziałem wszystko, co działo się na drodze. Rano słyszę warkot samochodów. Tabun wojska we wsi.

Ty aresztowany?

W Wielki Piątek. Z ciekawości zaraz się ubrałem. Na drogę nie wyjdę, bo ciągle jeszcze przejeżdża wojsko. Za pół godziny patrzę, nie poszli dalej, niż na górny koniec wsi. Najdalej doszli do rozwidlenia dróg między Stawiszą a Banicą. Z naszego podwórka widać było, jak ciągnęli pod górę i ustawiali ruskie karabiny maszynowe i strzelali. Przyszli szukać partyzantów, a ich nie było. Nie wiedzieli, co dalej robić? Po partyzantach nie było śladu. Przeszli się po wsi, a tu akurat dzwonią na poranne do cerkwi. Byłem już ubrany. Patrzę, a tu mój sąsiad, żak Moskwa idzie do cerkwi. Stoję przy płocie i widzę samochód. Zatrzymuje się obok tego żaka, aż zapiszczały hamulce! Wybiegło kilku żołnierzy i wbiegło do środka. Wrzask w domu! *Co tam robią?* Zastanawiałem się. Patrzę, za chwilę prowadzą Władka, mojego kolegę! Tego, który poprzedniego wieczora wsiadł na rower i gdzieś pojechał. Patrzę i myślę sobie: *O, Władziu! Ty aresztowany? A, za co? Rower komuś ukradłeś? A może coś masz wspólnego z partyzantami?* Kolegowałem z nim na co dzień, po sąsiedzku i nic nie wiedziałem. Jak go zabrali, to dostał wyrok za współpracę z UPA. W samochodzie ci żołnierze mieli już aresztowanego ze Stawiszy Gienka Boczniewicza. Obydwaj byli z 1927 rocznika, dwa lata starsi ode mnie i obydwoj uczyli

się już za Niemców w Krynicy w bursie. Skończyli już siódmą klasę. Nie to, co my cztery klasy. Mieli po siedem klas i gdzieś ich partyzanci zaangażowali do współpracy. Potem, tym samym samochodem to wojsko pojechało do Brunar i aresztowało Grzegorza Kisielowskiego. Władek dostał dziewięć miesięcy więzienia. Jak wyszedł po żniwach, były drugie sianokosy. Śmiał się. O, jaki wesoły był! Bohater, bo wrócił do domu! A to był człowiek, który był na froncie w radzieckim wojsku. Naszych chłopców w ruskim wojsku było bardzo dużo. Ze Śnietnicy zginęło co najmniej kilku, dokładnie nie wiem ilu. Czterech, pięciu? Reszta wróciła. Oddział Władka poszedł pod Berlin z Morawskiej Ostrawy. Pod Morawską Ostrawą poginęło dużo naszych Łemków. On w Niemczech, jak szedł z oddziałem, to widział sąsiada swego kuzyna, który poszedł do Niemiec na roboty. Poznał go, jak jechał końmi. Złapał za broń i krzyczy: *Stój! Władek, nie poznajesz mnie?* Pyta tamten. Porozmawiali sobie. Zaraz przyszedł oficer i pyta: *Kto to jest?* *Mój brat.* Odpowiada Władek. Oficer dał jakiś kwit temu znajomemu Władka, żeby go inni żołnierze już nie zaczepiali.

Tego zabitego delegata, nie wiem za ile dni, jak zeszytniał załadowali go na wóz. Ręka mu zeszytniała. Pamiętam, jak dziś, jak go wieźli, to ta ręka zwisała z wozu. Niektórzy Łemkowie śmiali się: *O, popatrz! Ruski pisze do Rosji.* Tych dwóch Polaków, delegatów partyzanci zabrali ze sobą i słuch po nich zaginął. Co z nimi zrobili, to nie wiem. Ale to był koniec naszej „repatriacji” na Wschód. Wynieśli się delegaci i nikt już nie agitował. Przyczyniła się do tego ukraińska partyzantka.

U nas partyzant z AK cały dzień siedział na górze w życie i obserwował. Miał zabić zastępcę komendanta milicji. Siedział, pod wieczór poschodzili się milicjanci. Usiedli na ławce pod domem, a on podszedł sobie i woła tego zastępcę po imieniu. Ten wyszedł, przeszli się kilkanaście kroków, wyciągnął broń, oddał dwa strzały w głowę milicjanta i uciekł.

W Czyrnej powieszono sołtysa Łemka

Wojna się skończyła, przyszło UPA i problem, w Czyrnej powieszono sołtysa Łemka, który zapisał ludzi z Czyrnej na rzymokatolicyzm. W Nowym Sączu pouczono go, że to uchroni więś przed wysiedleniem.

Pewnego razu, pamiętam tę noc, na naszej drodze dużo ludzi. To byli partyzanci. W tę noc rozprawili się z sołtysem. Po prostu go powiesili

za zdradę. Zapukali do naszych drzwi: *Widczyniat'!* Otwierać! Jeden taki wysoki, dobrze zbudowany jak dąb. W skórzanym płaszczu siada przy stole. *Hospodar ty nam musysz daty kabana!* Chcieli zabrać świnie, bo nie mieli, co jeść. *Od tego się nie odwołasz, bo jesteś dobrym gospodarzem, to bez tej świni poradzisz sobie!* Zaraz wzięli klucz do stajni. Poszli tam i zabili świnie. Zabrali mięso w workach i odjechali konno. Ten oficer jeszcze zawrócił, usiadł przy stole i napisał zaświadczenie, że w dniu takim, a takim, mój ojciec dał świnie na potrzeby UPA. *To będzie Ci kiedyś nagrodzone.* Powiedział. Pewnej nocy partyzanci spalili szkołę i gminę w Śnietnicy. To było UPA, nikt inny. Szkoła i gmina to były nowe domy. Stały obok siebie, po sąsiedzku.

Pamiętam początki organizacji UPA. Pewnego razu w niedzielę wychodzimy z cerkwi po nabożeństwie. Jak ludzie wracali, to pod Brunarami słysząc było strzelaninę. Cerkiew stała wyżej, na górze. Widać było jak ktoś ucieka, a drugi strzela. Strzały padały gęsto. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, ale widać było wojsko. Dwaj z Brunar: Wasyl Kyrda i Grzegorz Kuźmiak wrócili z frontu. Rodziców nie zastali w domu, bo wyjechali na Ukrainę. I tak szwendali się. Polacy pozajmowali ich gospodarstwa. Gdzieś nawiązali kontakty z partyzantami. W niedzielę rano przyszło wojsko ich aresztować, a oni, jak to frontowi chłopcy, potrafili im uciec. Uciekali w kierunku okopów. To było widać. Jeden stał, pobiegł kawałek. Drugi tak samo. I wskoczyli do okopów. Tak to uciekli i chodzili z partyzantami. Trzeci z Brunar, Jan mój kolega. Był służącym u mojego sąsiada. Razem paśliśmy krowy. Też dostał się do UPA. On też wrócił z frontu i tak to zaczęła się partyzantka. W każdą prawie noc trzeba było się użerać z partyzantami, a w dzień z wojskiem. Wojsko ciągle nachodziło nas w poszukiwaniu partyzantów. Zdarzyło się, że w Śnietnicy szli przez las, partyzant gdzieś się zagapił i go zastrzelili. Faktycznie to on sam się rozerwał granatem, bo widział, że już nie ucieknie.

Widzieliśmy te sanie załadowane trupami żołnierzy

Pewnego razu zimą młóciłem żyto cepami w stodole. To było gdzieś na przełomie 1945 i 1946. Słysząc straszną strzelaninę gdzieś w górach pod granicą. Strzały i huk granatów. Pod wieczór tego samego dnia, stacjonowało u nas wojsko w szkole, sołtys opowiada, żeby dać wojsku furmankę. Tak to przyszło mi być woźnicą. Wziąłem sanie i podjechałem do tego wojska. To było przed wieczorem, w porze

pojenia krów. Tam załadowano na sanie moździerz i mnóstwo amunicji. Wojsko było już gotowe, w szeregu. Oficer, który nimi dowodził, zdjął na koniec swoją czapkę i mundur, i zamienił się z wartownikiem, który został. Ubrał mundur szeregowca, żeby nie mieć znaków oficerskich. Pluton szedł przede mną, a ja z tyłu. Czterech żołnierzy wyznaczono do pomocy przy saniach. Zrobił się zmierzch, ciemno. Idziemy w stronę Izb. Pomiedzy górami, od Śnietnicy do Izb tak skrzypiał śnieg, jak szli żołnierze. Szli po dwóch, co kilka metrów. Najpierw jeden pluton, potem drugi. Jechały sanie, a na końcu trzeci pluton. Łącuchy uderzały głośno o metalowe okucia dyszla, żołnierz zdjął mi szalik i przywiązał je, żeby nie dzwoniły. Nie chcieli robić żadnego hałasu. Wychodzimy właśnie *na Żabińce* pod Izby. To był taki przysiółek pod Izbami. Były tam trzy łemkowskie chyże. Tam nie dość, że noc, to jeszcze straszna mgła. Zauważyli, że w jakiejś chyży w pobliżu, *na Żabińcach* pali się światło. Przypuszczam, że to był dom Konstantego Czyrniańskiego. Takie przypomina mi się nazwisko. Oficer z obstawą wskoczył na podwórze. Pod oknami rozpoznano sytuację. Weszli do domu, posprawdzali. Poszli do stodoły, posprawdzali i wtedy każą mi zajeżdżać saniami do podwórza. Oficer wziął raketnicę i wystrzelił rakietę. Nie wchodzi do domu. Niektórzy żołnierze weszli do środka. Drudzy stoją na drodze, bo to było ich mnóstwo. Zrozumiałem, że oficer na kogoś czeka. Na jakiś odzew. Po piętnastu minutach wystrzelił drugą rakietę i nadal nie ma żadnego odzewu. Jeszcze po dziesięciu, piętnastu minutach wypuścił trzecią i nadal nic. Wtedy dał rozkaz odwrotu. Zebrać się i z powrotem! Nadal cichutko idziemy w takim samym szyku jak w tamtą stronę. Była dwunasta godzina w nocy, jak przyszedłem do domu. Weszliśmy do wsi, do Śnietnicy, jak ci żołnierze się obejmowali, że szczęśliwie wrócili bez walki! Rozładowali mi sanie, ja poszedłem spać. Rano przyszło mi znów jechać do Izb, *do Beszkida* po drzewo. Woziliśmy drzewo końmi do Kąclowej, do tartaku. *Beszkid* był pod Izbami przy granicy. To była ta wielka góra, w stronę Mochnaczk i Krynicy. Wyjeżdżamy końmi i saniami, akurat załadowaliśmy kłoc na sanie w to samo miejsce, gdzie byłem w nocy, *na Żabińcach*. Stoją na drodze dwaj żołnierze: *Stać! Tu musimy wozić deski i słomę na bunkry*. Rany boskie! Na jakie bunkry? To tu była strzelanina. Coś tu musiało być, a my o niczym nie wiedzieliśmy. Podjeżdżam coraz dalej. Jeden pilnuje mnie, żebym nie uciekł. Tam właśnie, pod *Żabińcami* w stronę Czertyżnego partyzanci mieli bunkry. Okazało się, że w nocy, poprzedniego dnia zabrali z Mochnaczk gospodarzowi jałówkę. Poprowadzili ją swoimi

ścieżkami, w tamtą stronę. Ten gospodarz był zobowiązany zgłosić o tym do sołtysa. Sołtys zaraz na milicję, a milicja do wojska. Przyszło wojsko. Nie wiem czy jeden pluton, czy dwa. Poszli śladem za krową. Podeszli blisko partyzantów. Żołnierze byli na otwartym polu i ci wystrzelali ich wszystkich. Byłem świadkiem, jak wieźli tych żołnierzy na saniach do Tylicza. Ta strzelanina musiała rozegrać się gdzieś o dziewiątej rano. Potem przyszły posiłki wojska z Tylicza. Nie poszli w ślad za partyzantami, bo ich było za mało. Czekali jeszcze na wojsko z Nowego Sącza. To wszystko przeciągnęło się. Dopiero na drugi dzień pozbierali trupy, gdzieś około dziesiątej rano ich wieziono. Myślę sobie tam, wtedy na *Żabińciach*: Co ten żołnierz ze mną zrobi? Miałem jakieś pieniądze, to temu żołnierzowi, co szedł obok mnie, włożyłem do kieszeni. Popatrzył na mnie, akurat na drodze było mnóstwo wojska. Może mnie pan wyprowadzi? Zapytałem i zgodził się. Przeczekał, aż przeszło to wojsko i rozkazał: Jedź! Byłem wtedy po tego kłoca z Józefem Chomiakiem. Załadowaliśmy na Beszkidzie drzewo i jedziemy z powrotem i właśnie wtedy widzieliśmy te sanie załadowane trupami żołnierzy.

Zostaniecie dzisiaj wysiedleni!

Pałem krowy na końcu wsi. Patrzę, idzie wojsko. Kuchnia, jedna druga. Przyszło wojsko do wsi. Rozlokowało się w górnym końcu wsi na łące. Dwa tygodnie ciszy. Nic nie postanawiają. Patrolują wieś i inne sąsiednie wioski. Ludzie już wiedzieli, że chyba będzie wysiedlenie. A wiedzieli skąd? Miesiąc wcześniej, była to niedziela. Wróciliśmy właśnie z cerkwi. Godzina gdzieś w porze obiadu, dwunasta, pierwsza. Z kolegą Władkiem Kowalczykiem poszliśmy do sadu. Wszystko zazieleniło się, bo to był maj. Patrzymy, leci nad wsią samolot i rozrzuca ulotki. Ulotki widać w słońcu, spadają koło nas. Chwyciliśmy kilka. I co pisze? *Ludność ukraińska zostanie wysiedlona na Ziemie Zachodnie. Kto będzie stawiał opór, będzie odpowiadał prawnie! Radzimy nie stawiać żadnego oporu!* Pamiętam, że dziadek Kowalczyk przyszedł i mówi: *Co? Oni nas wysiedlą? To ja wezmę siekiere i im porozbijam głowy. Gdzieżby nas stąd wygonili?* Potem był spokój. To wojsko przyszło. Po dwóch tygodniach powiada sołtys, żeby ojciec zaprzął mi konie i trzeba podjechać do wojska. To było w nocy, gdzieś o drugiej godzinie po północy, z soboty na niedzielę. Pojechałem tymi końmi, a tam już była masa innych koni. Nazganiali wozy od Tylicza, Krynicy i dalszych wsi tak, że była ich chmara. Widziałem jak wojsko zjadło

śniadanie. Miało musztrę poranną. Potem był rozkaz, że każdy żołnierz dostał swój przydział, ile wozów ma nadzorować. Nastąpił odmarsz. Oficer rozkazał w kierunku na Izby. Jadę kawałek w szeregu, a oficer wyprzedza i widzi, że moje konie są ładne. On jechał takim kulawym koniem. Przeskoczyli na mój wóz i kazali wyjechać z szeregu. Tamten wóz wpuścili do szeregu, a mi kazali wyprzedzać wszystkie. Wyprzedziłem. Pojechaliśmy pod Banicę, oficer pyta: *Gdzie droga do Izb?* Odpowiedziałem, że w lewo. Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. Przecież on dobrze wiedział, gdzie ta droga. Dojechaliśmy do Izb, wstąpiliśmy do pierwszego gospodarza. Pierwsze promienie słońca wschodziły w niedzielę rano. To było chyba siódmego czerwca. Pierwsze promienie słońca wychodziły zza góry, jak żołnierz zapukał do drzwi pierwszego gospodarstwa. Wyszedł gospodarz. *Masz powiedzieć dziesięciu, że mają się szybko zebrać na łące Pauka. Będzie ważne zebranie.* Jadę dalej, wzdłuż wsi, to żołnierz policzył dziesięć chyż, znowu zeskoczył z wozu i zapukał. I znowu. I z drugiej strony znowu tak. I zawracamy do Bielicznej. Pojechaliśmy z tym oficerem do Bielicznej. Tam wstąpił do sołtysa i kazał mu, aby dał znać ludziom, żeby się spakowali, bo będą dzisiaj wysiedleni.

Szybko nakazał mi jechać tam, skąd wypływa rzeka Biała do potoku. Ja mówię mu, że tam nie nawrócę później wozu. Pojechałem kawałek i znaleźliśmy studzienkę, skąd wypływa rzeka Biała. Dał mi aparat. Nie było wtedy przy nim żołnierza, bo musieli zostać w Bielicznej. Zrobiłem mu zdjęcie. Wyjaśnił mi: *Jak będę pisał książkę, to będzie mi potrzebne.* To był porucznik Wojska Polskiego. Żeby nawrócić, trzeba było rozebrać wóz. Wróciliśmy z powrotem do Izb. Przejeżdżamy przez wieś. Na górnym końcu, na łące Pauka gromada mężczyzn. We wsi ludzie jak płakali. Przez drogę przechodziły młode dziewczyny. O rany boskie! Nie wiedziały, że wysiedlają. Nie miały o tym pojęcia. Pauk miał taki wysoki ganek przy domu. Ten oficer wyszedł na ten ganek i powiedział do ludzi zebranych na łące: *Zostaniecie dzisiaj wysiedleni! Co zabierzecie, to wasze. Co nie, to nigdy już po to nie wrócicie! Wozów macie dosyć, ładujcie!*

Jak to wszystko wziąć na jeden wóz?

Ja nadal pozostałem do dyspozycji oficera. Z tym jednak, że Pauk prosił go, żeby na mój wóz dać pszczoły, bo miał wielką pasiekę. Wziął dwa ule. Gdzieś, około jedenastej był odmarsz. To taki płacz, lament. Nawet żołnierze płakali. Polscy żołnierze, niejednemu łzy ciekły wśród tego lamentu!

Tak szliśmy, przez Śnietnicę, Brunary, Florynkę, Kąclową. W Kąclowej już zrobiło się ciemno. Już na Centrali, górze przed Kąclową, złodzieje kradli z wozów. Byli to Polacy. Podchodzili z boku i zabierali cokolwiek. Do mojego wozu była jeszcze przywiązana czyjaś krowa, to tę krowę odwiązali. Ja narobiłem wrzasku. Akurat w pobliżu był oficer. Wystrzelił z pistoletu, to pouciekali, a krowę zostawili. Potem przeszliśmy przez Grybów. Na Grybowską Górę weszliśmy w nocy, a z góry zejść, to już straszna ciemnica. Woźnice zaczęli wrzeszczeć, że wozy trzeba pchać, bo to się wszystko poprzewraca. Oficer dał rozkaz, żeby zatrzymać wszystko, popodpierać i doczekać do świtu. Jak zaczęło świtać, ruszyliśmy do Gorlic. Przyszliśmy do Gorlic na stację, to tam zaczęło się kolejne nieszczęście. Aresztowanie naszych mężczyzn przez UB - owców.

Były tam poustawiane wojskowe namioty, to tam brali i bili naszych. Prześladowali za partyzantów i za inne sprawy. Pamiętam, że szedłem z kolegą Andrzejem Chomiakiem. Wychodzi UB-owiec, jego łapie za rękaw i do namiotu, a do mnie nic. No to zabrałem się i poszedłem. Myślę sobie: *Co on będzie z nim robił?* Odszedłem kawałek i położyłem się za krzaki. Jak wiatr podwiewał namioty, to obserwowałem. Widać mu było nogi. Siedzi jeden z jednej strony, drugi z drugiej. Tamten oficer jak uderzył go w twarz, to ten się przewrócił. Wtedy dałem „dyla” i uciekłem. Potem z tych wozów wyładowaliśmy wszystko i z powrotem.

Potem wywozili Banicę. Ja w Banicy nie byłem. Zostałem skierowany do Brunar. Tak wyszło, że wywoziłem Brunary, a Śnietnicę to już inne wozy. Całą gminę wywieziono w ciągu tygodnia. Nasze konie w Gorlicach, jeszcze z Brunar nie wróciły, a nas wysiedlają! Z Tylicza dali jeden wóz, Rystweja, właśnie z tym kulawym koniem. Nasi załadowali wszystko do drabiniastego wozu. Czekali na swoje konie, że nadjadą i pociągną, ale ich nie było. No, to tak wyszło, że zostawiłem swoje konie Józefowi Chomiakowi i jechał nimi z Gorlic, a ja pierwszy, dostałem się samochodem wojskowym do Śnietnicy. *Jak to wszystko wziąć na jeden wóz?* Przydałby się jeszcze drugi, a tu jeszcze tego wozu nie ma czym pociągnąć, bo nie mamy swego konia. Ten z Tylicza ma wóz. Dałem żołnierzowi jakieś pieniądze, żeby zmusił tego Tyliczana do przełożenia koni do naszego wozu. Do jego wozu zaś zaprzęgniemy nasze krowy, dokąd nasze konie nie wrócą. Nie chciał absolutnie przełożyć krów do swojego wozu, to żołnierz złapał za karabin i wydał mu rozkaz: *Konia przełożyć i koniec!* No i wyjechał

z podwórza. Ledwo wozem ruszył, tak był załadowany. To był odmarsz. Potem nasze konie wróciły, to jeszcze wróciłem do domu. Zabrałem obrazy, kilka worków kartofli na swój wóz i dogoniłem ich w Brunarach. I tak razem dojechaliśmy do Gorlic.

Dojechaliśmy do Oświęcimia

Załadowali nas do wagonów. Potem z Grybowa do Nowego Sącza. Tam jest taka góra, to drugi parowóz z tyłu musiał pchać nasz pociąg, bo jeden nie pociągnąłby. Bardzo długi był to skład. Dojechaliśmy do Oświęcimia. Tam następne nieszczęście. Wchodzą ubowcy i wyciągają mężczyzn na przesłuchania. Bicie i krzyk! Rany boskie! Pamiętam, że ludzie od nas ze wsi współpracowali z ubowcami i ci ludzie byli znani konwojentom wojskowym, którzy prowadzili transport. Konwojenci z nimi rozmawiali, to było widać. Ci konwojenci bardzo ich bronili, żeby żołnierze nie robili im krzywdy. Tak wyszło, że wtedy można było zorientować się, kto współpracował z UB. Współpraca z UB nie należała do dobrowolnych. Wiem o takich sprawach, że kolega, którego wtedy rozpoznałem, że współpracuje z UB, został do tego zmuszony. Wrócił chłopak z frontu, był tam ranny. Miał przestrzelone zebro. Potem został zmuszony do współpracy. Dopiero na Zachodzie opowiadał mi, w jaki sposób. I nie tylko z jednej strony. Do współpracy z UPA też był zmuszony. W pewnym czasie znalazł się w wielkich opałach.

Szedł do Banicy do narzeczonej, to ukraińscy partyzanci dowiedzieli się, że on współpracuje z UB, zaczęli na niego w przebraniu wojskowym pod Banicą i zatrzymali go jako żołnierze. Kazali mu podać pseudonim, byli w polskich mundurach, to on podał. I tu pewnie czekałaby na niego śmierć, ale szybko się zorientował, że to są partyzanci i uciekł im w pobliskie zarośla olchowe. Do wysiedlenia ukrywał się. Nie znaleźli go. Na Zachód dotarł z nami do Machar. To dla naszych ludzi wtedy była tragedia. Tu jechaliśmy tydzień.

Ja przez cały rok nie spałem spokojnie

Piętnastego czerwca byliśmy na stacji w Gorlicach, to za tydzień dotarliśmy do Kurowa. W Kurowie przyszli „kupcy” PGR-owcy: administrator PGR-u z Bobrówka z traktorami czekał i wybierał ludzi, którzy mu pasowali do pracy w PGR. Wybrał dużo, pozapisywał i kazał ładować na traktory, co nasze. Z krowami, całym dobytkiem

dostaliśmy się do Machar. Przywieźli nas nocą. Rozładowaliśmy się przed domem, który nam wskazał. Wtedy po raz pierwszy, jak się rzuciłem na pierzynę zawiązaną w płachcie, na środku pokoju, jak usnąłem, to obudziłem się w południe. Myślę sobie: *To ja przez rok czasu nie spałem spokojnie. W domu cały czas, albo partyzantka, albo inne czorty. A tu nareszcie się wyspałem. Nikt mnie nie budził.*

Słońce świeci, diabli wiedzą gdzie? Wszystko obce. Jak się człowiek urodzi w jednym miejscu, to wie kiedy południe po położeniu słońca. A tam nie wiem, kiedy wschodzi, kiedy zachodzi. Nie wiem. W południe, o dwunastej mieliśmy rozkaz zgłosić się na podwórzu. Rządca dał stół. Przychodzi ubowiec i spisuje nas wszystkich i mówi, że tu nie wolno wyrządzać żadnej krzywdy, jedni drugim. *A kto będzie podskakiwał, to będzie w naszych rękach! Mówił. A nasze ręce, to już wiecie, jakie są!* Nakazał pilnować porządku. Dobrze obszedł się z nami i dał nam takie wsparcie, że Polacy nie mieli odwagi nas się czepiać.

Dla nas wielkim nieszczęściem było siedzenie w PGR, bo to było więzienie. Ludzie nie byli nauczeni iść na dzwonek do pracy. Tam wszystko było na szóstą rano. Dzień roboczy w PGR był bardzo długi. Bardzo dużo pracy, a wszystko robiło się ręcznie. Hakanie buraków. Życie było bardzo ciężkie.

Tu, na Zachodzie odnaleźć nam się było bardzo trudno. Nie wiedzieliśmy, gdzie niektórych skierowano. Nikt nie miał żadnego adresu. Jakoś jednak pomału ludzie się poodnajdywali. Pierwszy list dostałem z Uskorta koło Wołowa na Dolnym Śląsku od kolegi. Pisał: *majątek Machary*, a on nazywał się Machary. On już wiedział, ile ich tam jest. Ja mu szybko odpisałem, ile nas Śnietniczan tu mieszka. Tak jakoś pomału się poodnajdywaliśmy. Śnietnicę podzielono na trzy transporty. Jeden pojechał w kierunku Szczecina, drugi Międzyrzecza, a trzeci Wołowa.

Walczył o to, aby nas wypuścili na gospodarstwa

Tu, jednych skierowano do PGR-u. Drudzy objęli gospodarstwa. Każdy upchnął się, gdzie mógł. My w PGR-ach długo nie mogliśmy wytrzymać. Po pierwszym roku, bo każdy musiał mieć umowę z PGR-em, że przez rok będzie tam pracował. Tak po pierwszym roku pracy, w kwietniu, to był koniec ordynariuszy. Trzeba było podpisać umowę na drugi rok, to Łemkowie zaprotestowali, a szczególnie Śnietniczanie. Byliśmy razem z tymi ze Żdyni i Krempnej. Łemkowie postanowili: *Nie! Nie pójdziemy! Nic nie będziemy podpisywać! Niech nas wypuszczą na gospodarstwa!*

Rządca PGR-u bardzo ubolewał i nie chciał nas zwolnić, bo potrzebował robotników. No, aż otarło się o UB. Doszło do tego, że przyszedł UB-owiec i zaaresztował ludzi, że nie chcą iść do pracy. Pamiętam, że mój ojciec zaprzągnął konia i z Piotrem Pacanem zawieźli tego UB-owca do Strzelec na komendę. Tak wyszło, że ojciec zatrzymał konia i czekał na Piotra. Słyszał jak ten ostro rozmawiał z tymi UB-owcami. A to był taki arcydiabeł! Po pierwsze był na froncie ruskim. Dostał odznaczenie za odwagę. Po drugie, współpracował z UB-owcami. To się to wydało. On dla nich pracował, a oni go aresztują. Po trzecie, jednym partyzantom wymknął się z rąk! I go nie zabili! To był taki rozrabiaka niesamowity! Wtedy ojciec mówi: Żebyście wiedzieli, jakie on wrzaski urządzał z tymi UB - owcami! A podobno, trzymali go aż sześć godzin. Nie dał się! To go wypuścili. Potem jego pierwszego zwolnili z Machar. Walczył o to, aby nas wypuszczono na gospodarstwa. Nas zwolnili jesienią po żniwach. Znalazłem w Przyłęgu gospodarkę i jakoś tam przenieśliśmy się. Ze Żdyni przenieśli się do Dankowa, a jeden z Krempnej został. W sumie zostało jeszcze kilkoro ludzi, ale to byli tacy, którzy nie mieli szans na gospodarzenie. Nie mieli gospodarzek ani w górach, ani tu. Z kolei na tych gospodarstwach też było bardzo ciężko, bo to już nie było nic dobrego. Szósta klasa ziemi, same piaski. Trzeba było iść do lasu pracować.

Na początku poszedłem z piłą ciąć drzewa, robić zręby. Potem powoli dorobiłem się nowego wozu, to woziło się drzewo. A potem, za Gomółki kupiłem nowy traktor i na tym traktorze zacząłem tu pracować. To znowu ustrój nie pozwalał zarabiać traktorem, to był problem! Miałem osiem hektarów ziemi. Hodowaliśmy krowy, konia, świnie, ale była też rodzina. W domu było nas pięcioro rodzeństwa. Byłem najstarszy. Reszta, wszystko chodziło do szkoły. Musiałem pracować. Rodzice mieli słabe zdrowie. Wszystko opierało się na moich barkach. Był problem.

Ożeniłem się w wieku dwudziestu czterech lat. Żonę znalazłem sobie na drugiej wsi, w Wełminie, Śnietniczanek Teodozję z domu Kaniuk. Pracowałem w lesie. Potem pojechałem wywozić drzewo w góry. Pojechałem razem ze znajomymi aż do Łosia koło Uścia. Jak zaczęliśmy wozić, tak od Zakopanego, to skończyliśmy w Ustrzykach Górnych. Wszystkie góry splądrowaliśmy w ciągu dwóch lat. Było bardzo ciężko, bo to jak w górach, latem jeszcze pół biedy, ale zimą duży śnieg. To było w latach 1957-59.

Na rękach wynieśli ich z domu

Jak objął rządy Gomółka, odbył się w Warszawie pierwszy zjazd mniejszości narodowych. I wtedy nastąpił powrót w góry. Łemkowie zaczęli walczyć o swoje. Piotr był studentem prawa we Wrocławiu. Podczas tego zjazdu miał swoje przemówienie. Mówił: *Wszystko nam obiecujecie. Wiecie, że wyrządziliście nam krzywdę, ale tylko obiecujecie.* Tak wyszło, że po tym zjeździe nie powstrzymywali już ludzi. Mogli jechać w góry i tam, gdzie było wolne miejsce, osiedlać się, albo dogadać się z osadnikiem, żeby ustąpił miejsca w rodzinnej chyży. Wtedy to bardzo dużo Kunkowian, prawie wszyscy wrócili. Ja w tym samym czasie pracowałem tam właśnie przy wywozie drewna. Też mogłem unormować sprawy własności z osadnikami, ale mój osadnik był bardzo zakorzeniony.

Komendant milicji Łukaszewski wtedy, jak nas wysiedlali, osiedlił u nas swoją córkę Stefkę. Nie dała się ruszyć. Tak wyszło, że ojciec z bratem i mama, siłą weszli do chyży. Przyszli wieczorem i chcieli przenocować, bo ja dowiedziałem się, że jest takie prawo, które mówi, że jak przenocują, to ich już nikt nie tknie. Stefka była kuta. Pracowała w gminie, była sekretarką i zaraz zadzwoniła na UB do Gorlic i tego samego wieczoru przyjechały dwa samochody UB-owców. Na rękach wynieśli ich z domu i dali im nocleg gdzie indziej, żeby tylko nie przenocowali. Oni też wiedzieli o tym prawie.

Matijczak wrócił z więzienia, dostał 16 lat za współpracę z UPA, ale objęła go amnestia. Jak wrócił do Śnietnicy, pomogłem mu, ile mogłem. Wozilem wtedy tam drzewo. Pomogłem mu na tyle, że żona komendanta Łukaszewskiego ustąpiła mu chyżę. Tak mi się ją udało przekonać. Ona była religijna, była świadkiem Jehowy. Łemkini z Wysowej, która wyszła za Polaka. W tym czasie komendant już nie żył, a ona jako wdowa, zgodziła się wpuścić Matijczaka do swego mieszkania.

Wtedy jak naszych wynieśli na rękach w zimie, dali im nocleg w innym miejscu. To oni tam byli ze dwa tygodnie, mieli tam szwagra. To był mąż kuzynki ojca. Potem musieli wrócić na Zachód, ale do sądu skierowano protokół. Sąd zaocznie ich skazał. Mam gdzieś ten dokument. Ten wyrok zaoczny był dla nas zaskoczeniem. Oskarżano Jana Hucia, że przemocą wprowadził się do Stefanii Laskowskiej. Nie przenocował tam, choć mówił, że to jest jego własność, bo Stefania zajmowała dom na podstawie prawnej. Wyrok był w zawieszeniu, a ze względu na podeszły wiek oskarżonego, zmniejszono karę do zera.

No, ale to był wyrok! Wyrok, który pocztą przyszedł do Przylęgu. To były ciężkie czasy, ale prawdziwe.

Przekonanie, że tu zostanę, nastąpiło po przyzwyczajeniu się

Pierwszy raz do Śnietnicy po wysiedleniu pojechałem w 1950 roku. Narobiłem popłochu. Kupiłem od leśniczego wojskowy płaszcz, taki zielony i ubrałem się jak UB-owiec. Zrobiłem to specjalnie. Poszedłem tam. Wchodzę do domu. *Dzień dobry! Pani Stefko u nas jest problem. Ojciec choruje na Zachodzie. Lekarz mu dał zaświadczenie, że powietrze mu tak szkodzi, że nie może oddychać. Konieczna zmiana powietrza na klimat górski. To jak zrobimy?* Takie zaświadczenie miałem, a ona: *Ja nie mam gdzie pójść!* Miała dzieci i była w ciąży. Niedługo ma rodzić, a tu zima. Poczekalem do lata i pojechaliśmy z Pawłem Mereną. Ja znowu tak, mówię Laskowskiemu: *Gustek! Ja wybuduję ci dom, gdzie chcesz. Tylko wskaż mi miejsce. Ty mi to musisz zostawić!* A on na to: *No to ojciec mi da! A gdzie ten ojciec?* Pytam. Podobno mieszkał gdzieś za Grybowem. Poszliśmy z Pawłem Mereną go szukać. Ledwie znaleźliśmy. Tam domy porozrzucane były pojedynczo po górach. Drobne gospodarstwa. Po jednym, albo dwóch hektarach wszystkiego. Trafiliśmy do jego ojca i mówimy mu, że idziemy od Gustka, żeby tylko wskazał gdzie, to my mu wybudujemy dom. On na to: *To jest najgorszy mój syn! Nie chcę go znać! Nic mu nie dam i do widzenia!* Nie załatwiliśmy nic. Potem już zagospodarowałem się na Zachodzie. Przekonanie, że tu zostanę, nastąpiło po przyzwyczajeniu się. Jak wróciłem traktorem z gór, to wtedy przeszła mi ochota na powrót. Trochę dokuczyły mi góry, bo tam było cięższe życie.

W środku mamy bolączkę

Przyjechał z Gorzowa do Strzelec Michał Kowalski. Zawiadomił ludzi, żeby spotkać się na zebraniu. Pozapisywał ludzi i tak powstał oddział USKT. To było gdzieś w 1975 roku. Wcześniej też chcieliśmy się zorganizować, ale UB przeszkadzało. Najpierw byłem zastępcą przewodniczącego. Potem przewodniczącym. Właśnie minął rok, jak zrzekłem się funkcji. Są młodszy, to niech teraz działają.

Czy Łemkowie są tolerancyjni? To trudno jednoznacznie określić. Starzy ludzie, no choćby z mojego pokolenia, to mamy żal o to, co się stało. Nawet mimochodem dajemy odczuć, że w środku mamy bolączkę.

To takie wspomnianie krzywd, tego, co przeżyliśmy. Teraz zmieniło się prawodawstwo, ale kiedyś prawo wobec mniejszości było bardzo krzywdzące. Każdy nasz krok był zapisywany. Nie mogła im zaginąć ani jedna dusza! Szczególnie interesował się nami Departament IV w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Pilnował nas i kościoła. Gdzieś na przełomie, kiedy chwiał się tamten ustrój, przychodzi do mnie wieczorem szef UB w Strzelcach. Byłem wtedy przewodniczącym USKT. Wypytywał mnie konkretnie o członków organizacji. Dlaczego to danego członka przyjąłem? Jakie kontakty mamy ze Stanami? Mówił, że Łemkowie robią mi tu krecią robotę. Z pretensjami do mnie, dlaczego ja z nimi nie współpracuję. Przez rok czasu byłem w ten sposób prześladowany. Potrafił rano o godzinie szóstej zadzwonić. To było w żniwa. Wziąłem telefon, a on się nie przedstawił i pyta: *Już pan na chodzie?* Ja odpowiadam: *Kombajn? Mam już na chodzie.* On na to: *A gdzie kombajn?* Zdenerwowałem się: *Kim pan jest? O co pan pyta?* To on: *Ja jestem szefem UB.* Ja wtedy ostro: *To czego pan teraz, z rana, chce ode mnie? Chce pan mi w żniwach pomóc?*

Tak przez cały rok byłem zaczepiany. Widocznie czuli strach przed czymś. Obserwowali naszych członków, żeby przypadkiem do naszych organizacji nie przeniknęli amerykańscy dywersanci. Zauważyłem szpicli, którzy spacerowali koło mojego domu każdego dnia, kilkakrotnie. Mogłem ich rozpoznać, bo wiedziałem mniej więcej, kto się czym zajmuje. Drugi raz zadzwonił zapowiedzieć, że przyjedzie ze mną rozmawiać. Przyjechał i wtedy kilka godzin mnie męczył w nocy. Chciał wymusić na mnie, żebym powiedział, że pewnemu milicjantowi, jak był służbowo na naszej zabawie, dałem litr wódki. Mówię mu: *Niech pan się ode mnie odczepi! Wy sobie oka nie wydziobiecie! Pan chce mnie umoczyć w takim bagnie?*

Nie przyznałem się do tego ani słownie, ani pisemnie. Próbowiał jeszcze wracać do różnych tematów. Na koniec tak się zmęczył, że wreszcie sobie poszedł. To była ostatnia wizyta. W końcu dali mi spokój. Potem wiele razy spotykałem tego człowieka. Byłem w Radzie Gminy, to przychodził. Już nie był szefem UB, miał prywatny biznes. Rozmawialiśmy ze sobą, całkiem grzecznie. Wiem jedno, że był okres, kiedy ludzie z Mochnaczki chcieli zorganizować sobie łemkowską organizację, żeby się od nas oddzielić. Wtedy wyczułem po zachowaniu UB-owców, że nie mieli ochoty, aby Łemkowie dzielili się na dwoje. Doszło do tego, że ci Łemkowie zrobili sobie spis członków, statut i chcieli zarejestrować organizację. Ten statut musiał być zatwierdzony przez UB. Wtedy ci z UB jeździli za szefem USKT aż na pole, nad

Noteć zorientować się, co on na to. Mówili, że to będzie problem, bo nastąpi podział i nie dali zezwolenia na zarejestrowanie organizacji. Kazali trzymać się USKT i tu krzewić kulturę. Bali się nowej organizacji.

Sądzę, że cywilizacja we wspólnej Europie będzie się bardzo zmieniała. Z korzyścią dla mniejszości. Nikt nie będzie się wywyższał. Tolerancja pojawiła się wtedy, kiedy Polska starała się o wejście do Unii. Pomogło też powstanie Ukrainy jako niezależnego państwa. To działa na korzyść. Polsce potrzebna jest wspólnota państw słowiańskich. Germanie czują się silni w Unii, a Słowianie dopiero do niej wchodzą.

Paweł Krył, 81 lat

Dobrze ze sobą żyliśmy

Pochodzę z Folusza koło Jasła. Dwadzieścia cztery kilometry od Jasła i od Gorlic. W naszej wsi mieszkało dwóch Polaków. Reszta - wszystko Łemkowie. Ale ci Polacy po naszymu mówili, po łemkowsku. Chodzili i do cerkwi i do kościoła. Do kościoła mieli pięć kilometrów. Utrzymywaliśmy kontakty także z Polakami z innych wiosek. Dobrze ze sobą żyliśmy. Nie było żadnych konfliktów przed wojną.

Byłem na Foluszu

W marcu 1945 Ruscy mnie wzięli do wojska, do Armii Czerwonej. Byłem na Czechach na froncie. Trzecia Ukraińska to była. Po pięciu dniach nas na front dali na Czechosłowację. Jak się wojna skończyła, szliśmy pieszo z Czech do Użhorodu. Tam nas wypuścili w sierpniu z wojska. Już rodziców nie było. Wywieźli ich w maju do Rosji. Nie wiem, ale chyba przymusowo pojechali. Bo jeszcze jak byłem w domu nie było o tym mowy. Jak mnie wypuścili, nie pojechałem szukać rodziców. Byłem na Foluszu. Kuzyn z Niemiec wrócił. Mój brat też. Ale minęliśmy się w Jasle na dworcu. On jechał do Rosji szukać rodziców, a ja - do domu szedłem. Zatrzymałem się w domu kuzyna. Nasz dom stał pusty. Sam byłem, więc kuzyn powiedział, żeby iść

do niego. Tak się męczyliśmy - trochę tu, trochę tam. Później otworzyli kopalnię ropy na Foluszu i tam zaczęliśmy pracować. To były już pieniądze. I obiad nam codziennie dawali. No i robiliśmy na gospodarce. Poszedłem do sołtysa, bo tych dwóch Polaków zostało. Reszta ludzi wyjechała. Cała wioska, sto trzydzieści numerów. I sołtys przyznał mi zboże. Skosiliśmy kosą, wymłóciliśmy, zrobiliśmy mąkę. Kluski się robiło, chleb piekło. Bieda wszystkiego nas nauczyła. Umiem piec chleb. Jeszcze i żonę nauczyłem, jak się pobraliśmy, bo nie umiała. Żona pochodzi z Krempnej. Jesienią, przed świętami, brat uciekł z Rosji. Znalazł rodziców, ale tam robił w kołchozie i jeszcze musiał dopłacać do obiadów. Tak źle im było tam. I uciekł. I już nas było trzech. Jeszcze jeden z nim przyszedł, to nas było czterech. Jeden chłop, taki Mykoła, z Niemiec wrócił. Wypadek miał kolejowy jak jechał z Niemiec, nogi mu połamało, to nas pięciu było. W Niemczech oni byli na robotach.

Ksiądz mało płacił

Rodzice zostali w Rosji. Ciężko było. Poumierali tam. Dwóch moich braci też umarło. Na Odessie. Przedtem jeszcze dalej byli. Później się cofnęli. Jak ten brat przyszedł z Rosji, poszedł służyć do polskiego księdza. Po wojnie cerkiew była w Bednarce. A naszej, tej, gdzie chodziliśmy, nie było. Rozebrali po wysiedleniu do Rosji. Chodziliśmy do Bednarki. Ja robiłem dalej w kopalni, brat w domu robił osetki, takie do ostrzenia kosi. Jeździł do Gorlic, do Jasła, Grybowa. Sprzedawał. Później poszedł do księdza służyć. Wytrzymał miesiąc i zachorował. Wrzodów dostał. Przyjechał końmi do domu, bo ksiądz miał dwa konie i mówi: *Idź za mnie, Paweł. Jak wyzdrowieję, to wrócę.* I poszedłem. Robiłem u tego księdza. Miał trzydzieści hektarów pola i sześć hektarów łąki. Były też krowy. Robiły u niego trzy dziewczuchy i ja. Miał siostrę i brata. Ten brat był starostą w Jasle. A siostra księdza miała siedemdziesiąt lat. Mało płacił. Pięćset złotych za miesiąc. A wtedy litr wódki kosztował osiemset złotych. Przy koniach robiłem, stajnia była, a koło tej stajni miałem pokoik. Spałem tam, a na obiady chodziłem do kuchni, na śniadanie też. A to post był... Pościli... Trzy miesiące tam byłem. Później się pokłóciliśmy z tym księdzem. Na budowę do Jasła drzewo woziliśmy, to jeden wóz szedł na budowę, a jeden się sprzedawało. Trzeba było, żeby pieniądze mieć, ubrać się jakoś. Ksiądz mi mówi: *Paweł, jak do spowiedzi nie pójdziesz, święconego jajka nie będziesz jadł!* Jak tu iść do spowiedzi? *Ty do mnie nie musisz iść! Są inni księża.* I odszedłem stamtąd. Do kopalni wróciłem. Tam pracowałem aż do wysiedlenia.

Ty byś nam pasował

Partyzantka chodziła po wsiach. Kto wie, jacy oni tam byli? Różni. Niektórzy mieli mundury, inni nie, niektórzy niemieckie mieli, polskie. Jak kto mógł. Rozmawiali po ukraińsku. Do Fólusza też przychodzili. Nikogo nie mordowali. Te oddziały partyzantki kradły ludziom świnie, cielaki, jedzenie. Od nas nie, bo nic nie mieliśmy. Kuzyn spał w domu, przyszli, zabrali nam chleb, płaszcz mój wojskowy. A on pod tym płaszczem spał, bo pierzyn nie było. Ja w tym czasie byłem w sklepie. Przyszli do sklepu. A tam jeden Polak ze wsi był, ja i dwóch takich kolegów. Wypili sobie i teraz do sołtysa idą. *Który prowadzi?* Ten nie, bo go noga boli, ten nie, bo coś innego, na mnie wypadło. A to już noc była, dziesiąta godzina. Prowadzę ich. Idziemy, a oni mówią: *Ty byś nam pasował, pójdiesz z nami.* Pytają czy w wojsku byłem. Poszli do jednego mieszkania, a ja uciekłem pod most. I do sołtysa już ich nie zaprowadziłem.

Przyjechaliśmy bez niczego

W 1947 roku przyszło wojsko, wszystkich nas zebrali koło sołtysa i powiedzieli: *Zabierajcie się!* Wozy podstawili i tego samego dnia wywieźli nas do Żmigrodu, a stamtąd do Jasła. Tam siedzieliśmy jeden dzień i noc. Pod namiotami spaliśmy. Wsadzili nas do pociągu i wywieźli na zachód. Jechaliśmy chyba ze trzy dni. Przywieźli nas tu, do Kurowa. Stamtąd nas - mnie, mojego brata, taką kobietę z dziećmi, Szach się nazywała, co jej męża zabrali do Jaworzna - przewieźli do Pielic. Tam milicyjny majątek był. Robiliśmy tam półtorej miesiąca i ani grosza nie zapłacili. A swojego bydła nie mieliśmy. W górach mieliśmy tylko kozę, ale ona tam została. Pies uciekł nam gdzieś z pociągu. Przyjechaliśmy bez niczego. Z walizką. W końcu z tych Pielic odeszliśmy. Przyszliśmy do Brzozy i tu już mieszkamy pięćdziesiąt parę lat. I tak się męczę. Tu było już pełno osadników ze wschodu. Dobrze było, bo dawali i mąkę i pieniądze. Dali mieszkanie. W parku koło cerkwi dom był, stoi jeszcze, ale już rozwalony. Kawalerka tam poszła. Żonatym dali inne mieszkania. Dobrze było. Dobry kierownik tu był. Żonę miał Niemkę, a sam był Polakiem. Dużo tu już Polaków było, kiedy przyjechaliśmy. Dobrze nas przyjęli. Nikt nam nic nie mówił. Może niektórzy byli źle do nas nastawieni, ale ogólnie w porządku było. Pracowaliśmy w pegeerze. Najpierw końmi jeździłem, potem skończyłem kurs i jeździłem traktorem i kombajnem.

Wysłali mnie na kurs kinooperatora i wyświetlałem kino na świetlicy w Brzozie wieczorami. Było co jeść, świnie chowaliśmy, krowę, kury, kaczki i gęsi. I tu się ożeniłem w 1948 roku. Z Łemkinia. Poznałem ją w Brzozie.

Cerkiew jest ważna

Dawniej chodziłem do normalnej cerkwi, unickiej. W Foluszu cerkwi nie było, więc chodziło się do wsi odległej o trzy kilometry od Folusza. I chrzest tam miałem i wszystko. W 1954 chyba powstała tu, na zachodzie, cerkiew. Wcześniej chodziliśmy do kościoła w Strzelcach. Jak otworzyli cerkiew, zaczęliśmy chodzić tutaj. Ja komunistą nie jestem. W wojsku chcieli mnie zapisać do partii, ale się nie dałem. Cerkiew jest dla mnie ważna.

Nie było biedy

Miałem pięcioro dzieci. Do szkoły tu chodziły, do cerkwi, śluby w cerkwi brali. W szkole dzieci im nie dokuczały. Wiedziały, kim jesteśmy. Nie było problemów. Miały swoją religię, w cerkwi się odbywały lekcje co niedzielę. W tygodniu była polska religia. Można było też tam chodzić, jak ktoś chciał. Ani jeden, ani drugi ksiądz nie miał nic przeciwko. Nie było biedy.

Ja bym wrócił w góry

Szkoda mi gór. Ja bym wrócił. Ten człowiek, który mieszkał po wysiedleniu w dawnym domu mojej żony w Krempnej, postanowił go sprzedać. Chciał, żebym ja go kupił. Sto pięćdziesiąt milionów za to chciał. Za nasz własny dom. I ja mu mówię: *Choćbym nawet nagrodę jakąś znalazł, za własny dom nie dam pieniędzy!* Jakby chciał trochę tylko, to bym zapłacił. On za darmo dostał, a ja mu tyle będę pieniędzy jeszcze dawał? Nie ma głupich. I sprzedał komuś innemu. Żony brat mieszka w górach. Został, bo ich wioski nie wysiedlili. To była wieś Polany. Dawniej się jeździło, ale teraz to człowiek już za stary. Nogi bołą. W domu się więcej siedzi. Kilka lat temu byłem tam na pogrzebie ciotki. Miała sto jeden lat prawie. Grypa ją wzięła i umarła. Mam w górach córkę. Wyszła za mąż i wybudowali się w Tyliczu. Ma tam pracę i mieszka na łemkowskich ziemiach. Do cerkwi prawosławnej do Krynicy chodzi. Ślub braliśmy w kościele katolickim w Strzelcach.

Dobry ksiądz wtedy był, Siekierka się nazywał. Pytam go ile za ślub, a on mówi: Tyle, co orkiestra. Ja na to: *Orkiestra za darmo gra, bo to koledzy*. Ale za darmo nie dał ślubu. Trzeba było coś tam zapłacić.

Łemkiem do śmierci będę

Nie jestem Polakiem. Łemkiem do śmierci będę. Taki się urodziłem i taki umrę. Swojego się nie wstydzę. Niektórzy widzą nas jako Ukraińców. Ale ja jestem Łemkiem i koniec. W telewizji słysząc o Łemkach, w gazetach piszą. Ale ludzie mało wiedzą. Mówią, że jestem Ukrainiec, a ja na to: Nie żaden Ukrainiec, tylko Łemko z gór. Tu mieszkał obok sąsiad, taki młody chłopak. Umarł. Szkoda mi go było bardzo. Polak. Miał czterdzieści osiem lat. Pilnujemy jego mieszkania,

Paweł Merena, 72 lata,
syn Andrzeja i Marii z domu Krynicka

Często myślami powracam do tamtych czasów

„W górach Karpatach
smutne dni nastają,
bo już nasi Łemkowie
góry opuszczają.
Góry opuszczają,
ale nie z radości,
przyszedł taki rozkaz
od pana starosty.
A w czwartek raniutko
wojsko przyjechało,
taki rozkaz dali,
żebyśmy za trzy godziny
już wyjechali.
Tu kapral krzyczy -
pora wyjeżdżać,
bagaż wywozić,
i tam w Gorlicach na stacji
w błocie go położyć.”

Zacząłem chodzić do szkoły w czasie wojny. Uczyli nas niemieccy i ukraińscy nauczyciele. Uczyli Łemków i Polaków, którzy z nami chodzili: Janek Skrabski, Janek Koreń. Nie było różnicy między nami, nie kłóciliśmy się. Śnietnica nie była wsią tylko łemkowską, mieszkali w niej również Żydzi. Chodzili do mojej klasy, nawet pamiętam niektórych po imieniu. Kiedy zaczęła się wojna, bardzo przyjaźnie nastawionych do nas Żydów, którzy mieli u nas sklepy, Niemcy wywieźli do Bobowej. To było gdzieś na przełomie 1943 i 1944 roku.

Przyda się wam polski

Jak chodziłem do szkoły, to zaszczepiono nam dużo ukraińskiego. Znam wszystkie wierszyki. Znam wiersze Tarasa Szewczenki, znam też czytanki. Były cztery klasy, ale chodziło się do pierwszej jeden rok, do drugiej też, do trzeciej dwa, a do czwartej trzy lata. W sumie wychodziło tak, jakby było siedem klas. Jak przyszli Polacy, to ulokowali się w szkole. Przerwano nam lekcje. Zanim to się stało, to uczyła nas nauczycielka Polka. Mówiła tylko po polsku, bo naszego nie знаła. Traktowała nas dobrze. Wtedy byłem chyba pierwszy rok w trzeciej klasie. To był mój trzeci rok nauczania. Uczyla nas po polsku i mówiła: *Uczcie się tego, co jest, bo mieszkacie w Polsce i to wam się przyda. Ja nie nauczę was niczego po waszemu, bo nie umiem, a bardziej przyda się wam polski.* Jak poszła, to zjawił się nauczyciel z Łosia, drugiej wsi. Miał taką bardzo ładną narzeczoną Ukrainkę. Obydwoje uczyli nas po ukraińsku. Umiem więc i po ukraińsku, ale trochę zapomniałem. Tam nauczyłem się rachunków: mnożyć, dzielić, ułamek. Łapałem, ale nie wszystko. Była tam taka moja koleżanka, z którą spotkałem się w Kanadzie, jak byłem u syna. Była z mojego roku, zaprosiła mnie i poprzypominaliśmy sobie, jak to do szkoły chodziliśmy. Mówię jej: *Irka ty mnie nauczyłaś w szkole dzielić, bo ja w szkole się zastanawiałem.* Nauczyciel chciał, żebyśmy się szybko nauczyli. Mieliśmy zeszyty, odrabialiśmy zadania w szkole i w domu. Mieliśmy także historię. Uczyliśmy się o księciu Włodzimierzu, wnuku Jarosława Mądrego. Jak to jeszcze był małym chłopcem i brał udział w pochodach wojennych. Jak to kniaź dbał zawsze nie o swoje dobro, ale o dobro narodu. Pamiętam, bo to było takie ciekawe. Później przyszli Ruscy i tą jego narzeczoną mu zabrali. Była bardzo ładną blondynką. Śliczną, wysoką kobietą. Zabrali ją siłą. I tak mi się wiadomości na jej temat urwały. On uczył nas dalej

po ukraińsku pisać i czytać. Później ten nauczyciel uczył też nas po polsku. I tak, i tak.

Przed wojną nie chodziłem jeszcze do szkoły, ale uczył w niej Polak. Nazywał się Obrzut i mówił naszym dzieciom: *Teraz macie okazję to się uczyć*. Był oficerem. W 1939 poszedł do wojska.

Wieś nie była jednolita

Mieszkali tam i Łemkowie, i Polacy, i Żydzi. Pamiętam jak moja mama miała ciężkie porody. Wtedy zawsze przychodziły Żydówki i pomagały. Polskich rodzin nie było w samej wsi. Mieszkali w nadleśnictwie. Leśniczym był Polak. W czasie wojny z kolei nadleśniczym był Ukrainiec. Nazywał się Hriwczyk. Mój tata woził drzewo z lasu, stąd go pamiętam. Przychodził do nas. W czasie wojny były nakazy, ojciec woził to drzewo, a Niemcy za to płacili. Naszym rodzicom potrzebne były pieniądze, a gdzie indziej nie można było zarobić, ziemia nie wystarczała. W domu było nas pięcioro. Piąty, urodził się już w maju 1947. Niemcom trzeba było oddawać kontyngent. Trzeba było oddawać: mięso, mleko, zboże. Ludzie dawali. Niektórzy nie oddawali, to Niemcy przyjechali i zabierali. Widzieli ile kto ma i zabierali. U nas ojcu nie zabrali, bo zobaczyli, że jeździł do lasu i potrzebuje owsa dla konia.

Polskie wojsko

Przed wojną przez wieś przeszło polskie wojsko. Nawet u nas stacjonowało. To było zaraz po pierwszym wrześniu. Tuż przed wojną brali naszych do wojska w ramach rekrutacji. Nikt nie dopytywał się, jaki on jest. Nikt też nikomu nie dokuczał. Mój stryj był w podhalańskim wojsku. Opowiadał jak Polacy chodzili do kościoła, a Łemkowie do cerkwi. Nie było żadnych kłopotów, ani trudności. Kłopoty zaczęły się dopiero za komuny... Pamiętam, jak polskie wojsko we wrześniu szło do Izb, w kierunku na Czechy. Stacjonowali w Śnietnicy. U nas stały konie, żołnierze mieli kuchnię. Na łące karmili te konie. To nie trwało długo, może ze dwa tygodnie. Ostatni, którzy szli, podcinali słupy telefoniczne, bo u nas był telefon do Izb, a tam była placówka czesko-słowacka.

Ruski lejtnant

Skończyła się wojna, wszyscy wyjechali, zrobiło się cicho. Po jakimś czasie, za dwa trzy tygodnie, w czerwcu 1945 pojawił się we wsi ruski lejtnant. Akurat trafił na wesele mojej kuzynki. Na tym weselu hulał całą noc. Spił się. Zabrali mu broń. Rano, kiedy wytrzeźwiał oddali mu tę broń. Był bardzo zadowolony, że się nim zaopiekowali. Miałem kuzynkę, ładną dziewczynę, to się do niej czepiał. Ona mu się wymykała. Jak poszedł, to słuch po nim zaginął.

Problemy zaczęły się, kiedy przyszli delegaci

Wcześniej przyszli do nas Niemcy. W żółtych czapkach i mundurach. W dużym pokoju, w świetlicy pościelili żytą słomę i byli tam może ze trzy dni. Mieli suchary, kawę w kostkach. Dawali nam, pokazywali zdjęcia swoich dzieci. Tak, więc nie mieliśmy żadnych problemów ani z Polakami, ani z Niemcami. Problemy zaczęły się, kiedy przyszli delegaci.

Przyszli jeszcze później wojskowi ruscy, którzy chcieli naszych ludzi zabrać do wojska. No i wzięli dużo ludzi. Niby ochotniczo, ale zmuszali. Mogę nawet dzisiaj powiedzieć, kim oni są. To są ludzie bez czci, bez zasad. To był koniec wojny, dużo nie wróciło. Pamiętam wszystkie nazwiska tych, którzy wrócili, a którzy nie. Jeden mój sąsiad miał przestrzeloną rękę.

Zwali się oni *dobrowolci* - ale to była taka „radziecka dobrowolność”. Mój starszy o pięć lat kolega opowiadał mi, że był z Włodzimierzem Stawiskim, jak przekraczali most na rzece. Nie wiem, czy to było na Odrze. Prawdopodobnie w Głogowie, ale dokładnie nie wiem. Opowiadał, jak on przez ten most przeszedł, a Włodzimierz nie. Został na moście. Nie wrócił do domu. Pewnie zginął. Dużo było takich podobnych przypadków. Nie wszystkie mogę sobie przypomnieć. W każdym bądź razie, wróciło dużo rannych. Wrócili też tacy, którzy nie byli ranni, bo Śnietnica była dużą wsią, więc ludzi do wojska poszło dużo. Później przyszli delegaci zapisywać do Związku Radzieckiego. To było w 1945. Mieszkańcy Izb wyjeżdżali jeszcze w czasie wojny, ale dużo ich wróciło. Były wielkie opory ze strony naszych. Obiecali, że tam dobra ziemia, a niektórzy u nas dobrze wiedzieli, że na Ukrainie jest dobra ziemia. Namącili im w głowie opowiadając, że tam zamieniają owies na pszenicę. U nas też pszenica się rodziła. Kto dobrze gospodarzył, to nie brakowało mu zboża. Taka była propaganda.

Część zwerbowali. Potem pojechali do Banicy po raz pierwszy. Pojechał tam znajomy milicjant. Przyjazna dusza. Razem samogon robiliśmy. Naszym nic nie robili. Raz tylko wydarzył się wypadek. Zginęła mojej żony ciotka. Pijany policjant ją zastrzelił. Był też taki komendant policji, który miał żonę z naszych. Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni. Miał syna i dwie córki. Nie nazywano nas Ukraińcami, tylko Rusinami. Ukraińcami dopiero nazywano nas tu. Polacy nazywali nas Rusinami, a my siebie między sobą - Łemkami.

UPA

Potem to się skończyło, jak przyszło wojsko polskie do Śnietnicy, aby zlikwidować partyzantów UPA. Ukraińska Powstańcza Armia, Polacy mówili ukraińska banda. Nie wiem, niby mówią, że Ukraińska Armia, ale wcześniej nazywali bandą. W każdym razie oni nam nic nie robili. U nas był wójt Polak, bo w Śnietnicy była gmina, nazywał się Biernat i nic mu nie robili. Absolutnie nic. Komendantowi policji, policjantom - też nic. Przyszli, wzięli coś do zjedzenia, bo przecież musieli coś jeść. Znaleźli świnię, zabrali. Wzięli naszego konia i wywieźli świnię sobie do lasu, a konia puścili. Nasz koń taki był, że potrafił sam wrócić nawet z Grybowa. Nam nic nie robili.

Moja mama z młodszym bratem szli kiedyś nocą przez las do Polan. Miałem tam stryjka, to był brat ojca. Zatrzymali mamę w lesie, bo szła ścieżką, a ukraińscy partyzanci myśleli, że mama ich widzi. Mama mówiła, że nie widziała, ale ich zatrzymali i przetrzymali do wieczora. Pościelili im przy ognisku, a wieczorem kazali wrócić do domu. Bali się, żeby mama czegoś nie doniosła. Później były potyczki ze strony ukraińskich partyzantów, bo ja ich bandą nazwać nie mogę. W politykę nie chcę wchodzić. Później przyjechało wojsko KBW Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, żeby rozgonić te „bandy”. Bili się w lesie, między Śnietnicą a Polanami. Las się nazywał *Zajalyny*, czyli za jodłami. Wojsko polskie niepotrzebnie tam wystawiło się na rzeź, bo ci partyzanci sami by stamtąd poszli, bo nie mieli w lesie racji bytu. Polska była już przecież wyzwolona przez Rosjan i oni tu rządzą razem z Polakami. Dokąd by poszli, to nie wiem. Przez jakiś czas ta banda, jak oni to nazywali, była i oni tylko walczyli ze sobą. To wojsko nic nam nie robiło. Przyjechał jeden oficer i prawie łyzy miał w oczach, bo zabili mu brata. On, jeśli miał pretensję, to mógł mieć tylko do siebie, bo po co to wojsko tam pchał do lasu? Potyczki polsko-ukraińskie w naszej okolicy były dwie. Jedna w lesie *Zajalyny* i druga później, pod Banicą

na *Żabińciach*, to był przysiółek, kilka domów pomiędzy Czertyżnym, Banicą, a Izbami.

Opowiadał mi Mytro Hoć, jak woził zimą drzewo do lasu saniami. Zatrzymali ich żołnierze i mówią: *Jedźcie ze mną*. A tam wojsko polskie wozilo trupy, bo tam strasznie wybito Polaków. Partyzanci byli w bunkrach, mieli przewagę. To był straszny nonsens, bo ci ludzie nie musieli zginąć. Partyzanci wynieśliby się stąd, a oni byliby żywi. Ukraińcy ich nie zaczepiali, to oni zaczęli potyczkę. Chcieli wygonić ich z tego bunkra. Między naszymi ludźmi byli tacy, którzy współpracowali z Polakami. Niektórzy nie chcieli nic mówić. Mówili, że nic nie wiedzą. Po tej walce żołnierzy wywieźli gdzieś w kierunku Krynicy i Tylicza. Może do Nowego Sącza? Dokładnie nie wiem. Strzały słyszałem, ale tam nie byłem. To wszystko znam z opowiadania. W każdym bądź razie była to wielka bitwa. Potem to wojsko wróciło z powrotem do Śnietnicy.

Delegat

Radziecki delegat pojechał z milicją do Banicy. Pojechał Władek Liszka, komendant Łukaszewski, dobrze go znałem. Miał taki zwykły karabin, krótki karabin bojowy, a ten drugi miał pepeszę z bębenkiem. No i ich tam zatrzymali pod Banicą, na *Żabińciach*. Ruskiemu zabrali pepeszę, a komendantowi tylko amunicję z karabinu i wypuścili. Delegat chciał, żeby doszło do ostrzału, to zastrzelili go od razu i leżał tam przez noc. Było to zimą w styczniu 1947 roku. Potem widziałem, jak go wieźli. Jedną rękę miał sztywną, bo była zamarznęta. Zwisła mu do ziemi. Nie mogę powiedzieć nic na tych milicjantów, bo to byli ludzie, którzy się z nami liczyli. Byli nawet lepsi od ukraińskich policjantów, którzy byli za Niemców. Potem tych partyzantów przywieźli, jednego Ukraińcy zabrali ze sobą żywego. Nie znaleźli go potem. Nikt nie wie, jaki go spotkał los, a nie sądzę, żeby nasi mieli jakąś styczność z tymi Ukraińcami z lasu. Wtedy skończyły się zapisy na wyjazd do Związku Radzieckiego, dlatego ludzie z Banicy nie wyjechali. Mieszkańcy Izb wyjechali za Niemców. Jakie tam układy mieli Niemcy z Rosjanami, że ci puścili ich do Rosji, to nie wiem. Byłem za mały. Potem z Banicy nie wyjechali do Rosji. Na Zachód wyjechali wszyscy.

Chcę utrzymać swoje

W Banicy został taki nasz znajomy, Polak. Nazywał się Jasiek Cisko. Byłem potem u niego, w Banicy, jak już mieszkałem na Zachodzie. Wcześniej mówił po łemkowsku, a potem ja do niego po łemkowsku, a on do mnie po polsku. Nie chciałem ustąpić. Ja po swojemu i on po swojemu. On mnie rozumie i ja jego. Jako Polak w Polsce nie mógł mi ulec i rozmawiać ze mną po naszymu. Byłem wtedy młody i uparty, jak to mawiali: *Jak Asafat spid Beskida, Lemko z dida pradida*. Do dzisiaj jestem takim, który chce utrzymać swoje.

To było nieludzkie

Na Mościanańskiej Hucie, pomiędzy Stawiszą, a Uściem, były dwie chyże. Za Niemców ukrywali tam się ruscy partyzanci. Ktoś doniósł. Przyszli żołnierze niemieccy, Ukraińcy, którzy byli w policji i ich tam pozabijali. Jeden zdaje się uciekł. Zaskoczyli ich, jak się golili i ubierali. To było bardzo nieludzkie. Pasłem krowy w *Czyrniankach* i słyszałem te strzały. Stamtąd było to może z siedem kilometrów, ale strzały było dokładnie słychać.

Łemkowski wóz

Jak przyjechało KBW nas wysiedlać, to zajęli nasz dom. My zamieszkaliśmy u wujka. W naszej chyży był ich sztab wojskowy. Zanim wysiedlili Izby, Banicę, Czertyżne, Bieliczną, bo już Czyrna należała do powiatu nowosądeckiego. Nas wypędzili na końcu. Nie pamiętam dokładnie, którego to było czerwca. Wiem, że tu dotarliśmy 20 czerwca, a jechaliśmy około dwóch tygodni. Pamiętam tylko, że nam jeszcze powiedzieli: *Szykujcie się!* Przygotowaliśmy do drogi to, co mieliśmy. Konia już nie mieliśmy, bo Niemcy schowali go zimą w stodole. Ten koń się przeziębził i zdechł. Wieźliśmy dobytek tylko krowami, a ile można było na taki łemkowski wóz zabrać? Tymi krowami jechaliśmy przez Grybów do Gorlic. Dwie zaprzężone krowy i jedną jeszcze młodą ze sobą zabraliśmy. Szła z tyłu za wozem. Reszta: owce, świny, zostały. Na stacji w Gorlicach rozdzielali nas, kto gdzie miał jechać dalej.

Stawisza i Śnietnica należały do jednej parafii.

W jedną niedzielę chodziliśmy do Stawiszy, a ze Stawiszy w drugą przychodzili do nas. Stawiszanie, jak wracali, to lubili sobie wypić. Mój szwagier Kieleczawa pochodzi ze Stawiszy. Wstępowali do jego sklepu. Siedzieli tam, wypili po kielichu czy dwa i poszli do Stawiszy. W Śnietnicy stacjonowało wojsko. Przybiegli z karabinami i zaczęli strzelać do tego sklepu i zabili jednego Śnietniczana. Nazywał się Stefan Kisielowski. Młody człowiek, kawaler. Powiedzieli potem, że musieli, że to partyzanci. Taka to była niegodziwość, bezbronnym ludzi atakować z bronią. To było KBW. To najstraszniejsze, czego doświadczyłem od Polaków, oprócz tego, że wywieźli nas na Zachód. W trakcie podróży też traktowali nas różnie. Jak poszliśmy z kolegą rwać trawę, to bili nas za to, że nie było czym nakarmić krów.

Z domu jesteśmy grekokatolikami.

Mój syn w Kanadzie chodzi do grekokatolickiej cerkwi. Chrzczony był tu w prawosławnej, bo grekokatolickiej nie było. Mi była bliska nasza mowa. Tu odprawiał taki ksiądz prawosławny, Poleszczuk, Ukrainiec. Odprawiał po naszymu i tu chrzcilem swoje dzieci. Pewnie gdyby od początku była tu cerkiew grekokatolicka, byłbym grekokatolikiem. Chodziłem trochę do kościoła, bo wyganiaли mnie rodzice, żeby chodzić do Boga. Pomodlić się jak nakazuje religia. Jak powstała nasza cerkiew, to byłem w wojsku. Do wojska poszedłem w październiku 1953, wróciłem w 1955. Potem chodziłem już do prawosławnej, bo tu chodzili wszyscy moi koledzy, znajomi.

Rodzina

Mama z domu była Krynicka ze Śnietnicy. Miała pięć, albo sześć lat, kiedy poumierali jej rodzice. Zostało jeszcze dwoje rodzeństwa. Mama z siostrą były córkami drugiej żony dziadka. Jej brat Wasyl był z pierwszego małżeństwa. Był niemową. Mama przejęła gospodarstwo. Ojciec pochodził z Polan, z Merenów. Miałem tam dużo stryjków. Najbardziej wspólny język mogłem znaleźć z taty najstarszym bratem Teodorem, nazywanym przez nas Feciem. Jako najstarszy z rodzeństwa został na gospodarstwie w Polanach. Lubiliśmy rozmawiać ze sobą. On taki był, że potrafił rozmawiać z małymi dziećmi. Zawsze żartował. Przyjeżdżałem do niego. Kiedy były spory pomiędzy mamą i tatą, to

przyjeżdżał do nas. Był rozsądnym człowiekiem i nie patrzył, że to jego brat. Spór starał się rozstrzygnąć sprawiedliwie. Miał jedną córkę Helę, był z niej super człowiek, taka miła rozrabiaka. To była ta kuzynka, za którą uganiał się na weselu ten ruski oficer. Później nas wygnali. Oni do pociągu wsiadali w Grybowie, bo mieszkali w powiecie nowosądeckim. My, z gorlickiego, wsiadaliśmy w Gorlicach. Potem dowiedzieliśmy się o sobie dopiero na Zachodzie. Ten stryjek mieszkał w Szlichtyngowej koło Głogowa. Tam miał gospodarstwo, była tam dobra ziemia. Dobrze gospodarzył. Miał jeszcze brata, który był nieżonaty i dużo mu pomagał. Może nawet więcej niż on sam. Z niego był taki trochę handlarz. Pracę na roli potrafił sobie zorganizować. Zawsze lubił mieć gotówkę przy sobie. Przyjeżdżałem zawsze do stryjka. Cieszył się. Pracowałem w PKS-ie w Zielonej Górze. Miałem taki motor SHL-kę i jeździłem do nich.

Moja żona musiała być ze Śnietnicy

PUR był w Starym Kurowie, a nas przywieźli wszystkich ze Śnietnicy, niedużo nas było, bo pojechaliśmy trzema transportami. Przyjechaliśmy z Kunkowianami. Przywieźli nas do tego Kurowa, część wzięli do PGR-ów, a nas dwie rodziny: Basałygów i Merenów, skierowano do Przyłęgu. Później byłem w wojsku. Wróciłem z wojska, byłem kawalerem. Ożeniłem się dużo później. Miałem wtedy 29 lat. Byłem już stary. Co prawda, miałem inną narzeczoną. Niedawno byłem na jej pogrzebie. Później wyjechała z rodzicami do Przemkowa i kontakt się urwał. A ja innej żony nie chciałem niż z naszej wsi. Musiała być ze Śnietnicy, bo bardzo byłem przywiązany do swojej mowy, swojej wsi. Żona pochodzi z Kaniuków ze Śnietnicy. Tu mieszkała w Wełminie. Pobraliśmy się i mieszkaliśmy dwadzieścia lat w Przyłęgu. Pracowałem jako kierowca, miałem trochę ziemi i tak sobie żyliśmy. Żona zajmowała się domem, wychowywała dzieci.

Byli źli i dobrzy Polacy

Po przyjeździe na Zachód był taki jeden Polak w Przyłęgu, który uważał się za bogatego. Miał trochę ziemi i chciał, żeby inni u niego pracowali. Basałyga trochę się mu podporządkował. U nas było tak, że ja byłem najstarszy. Tato chodził pracować do lasu i nie pozwolił mi u niego pracować za darmo. Z moich kolegów w Przyłęgu, z mojego rocznika jeden mieszka w Strzelcach. Pochodzi zza Buga, nazywa się

Piekarski. Potem pracowaliśmy w Wydziale Komunikacji. On był kierownikiem. Spotykaliśmy się. Bardzo dobrze żyliśmy. Zawsze byliśmy na „ty” i tak jest do dzisiaj. Spotykaliśmy się w Wełminie na naszych potańcówkach. Wśród nas było dużo z Kunkowej. Byli też Polacy. Przychodzili. To było w latach pięćdziesiątych, po wyjściu z wojska. Byli źli i dobrzy Polacy. Mój kolega Janek Ciesielski jak się czepiali do nas, to od razu ich beształ i nie pozwolił. Jeden zaczął się do mnie czepiać, to złapałem go i dałem mu po gębie. Przewrócił się, wstał, zabrał się i poszedł. Tak to było. Jak było źle, to oni nas traktowali gorzej: *Ukrainiec i Ukrainiec*, tylko że nas tu było dużo. Nie przejmowaliśmy się tym. Większych problemów nie było.

Chcieliśmy wrócić w góry

Chcieliśmy wrócić do Śnietnicy z całą rodziną, w góry, kiedy już było można bez pozwolenia. Chciałem dogadać się z tym Polakiem, który mieszkał w naszym domu, że mu zapłacę odstępnę. Jego zięć był nawet przewodniczącym Rady Gromadzkiej. Rozmawiałem też z nim, byliśmy na „ty”, bo on był takim facetem, że nie chciał się wywyższać, a on mówi: *Wiesz co? Ja będę rozmawiał z teściem. Ile da się zrobić to zobaczymy*, ale nie dało się nic zrobić, bo on sprzedał to komu innemu. Tak, że nie wróciliśmy, ale wrócił Basałyga, ten, który był z nami w Przylęgu. I opowiadał, że ten Polak nie powiadomił nas, sprzedał Polakowi za naszymi plecami. Jeździłem tam jeszcze, bo chciałem wrócić. Chciałem kupić w Łosiu działkę. Umówiłem się z takim Łemkiem z Łosia. Mieszkał tu na Zachodzie, koło Piły. Pracował przy poszukiwaniu złóż gazu i ropy. On miał tam takiego lokatora, którego chciał się pozbyć i nie mógł. Mówi: *Ja go usunę, bo sprawa jest już druga w sądzie. Zaczekaj trochę, przyjadę do ciebie i cię powiadomię*. Miałem pieniądze, zaoszczędzone na całą budowę domu. Kupiłem cztery hektary ziemi, a potem tu zacząłem się budować, kiedy on przyjechał. Wtedy mówię: *Niestety teraz już za późno*. To było w latach siedemdziesiątych. Wtedy tu już się zadomowiliśmy i przestaliśmy myśleć o wyjeździe w góry. Na Łemkowszczyznę jeżdżę nadal. Trzy lata temu przyjechał syn z Kanady i pojechaliśmy razem. Wcześniej jeździłem pociągami, kilka razy byłem samochodem. Byliśmy na Watrze w Żduni. Bardzo mi się podobało. To jest swoja Watra. Był ukraiński ambasador, który mówił po ukraińsku bardzo ładnie. Byliśmy w cerkwi w Bartnym i w Gładyszowie. Akurat był w Bartnym biskup Adam. On pochodzi z Florynki, a w Śnietnicy też ma rodzinę. Potem

pojechaliśmy do znajomego syna, do Przemyśla. Po drodze zajechaliśmy do znajomej, do Łosia. Ona jest pielęgniarką. Zmierzyła mi ciśnienie. Miałem dobre i pojechaliśmy dalej. W Sanoku, jak mówił potem mój syn, straciłem w samochodzie przytomność. Tam trafiłem do szpitala na intensywną terapię. Dziesięć dni byłem nieprzytomny. Przyjechała jeszcze córka i siedzieli przy mnie.

Witamy się jak najlepsi bracia

Nas, Śnietniczan, było bardzo dużo. Na Zachód wywieziono nas trzema transportami. Wyjechaliśmy w jednym terminie. Jeden transport przyjechał tu, drugi do Wołowa, a trzeci do Międzyrzecza. Najliczniejszy transport skierowano do Wołowa. Tam jest najwięcej ludzi. Gdy się spotkam z naszymi ludźmi, to pytam się o tych ze Śnietnicy. W zasadzie na Zachodzie miałem dużo kolegów i znajomych ze Śnietnicy. Jak się spotykamy, to się tak witamy jak najlepsi bracia. Przeżyliśmy jakiś kawałek życia, mamy sobie co opowiadać. Mój kolega z ławy szkolnej już nie żyje, ale spotykaliśmy się od czasu do czasu. Byłem u niego na weselu, na weselu jego córki. Parę lat temu jeszcze był u mnie. Niedawno byliśmy na jego pogrzebie. To był jeden, jedyny kolega, nie wiem, jak go określić. Może lepiej niż brat? Byliśmy jak bliźnięta. Nazywał się Józef Stawiski, mieszkał w Przemkowie.

Bardzo podoba mi się młódzież

Bardzo teraz podoba mi się młódzież. Po upadku komunizmu każdy otworzył usta. Każdy zaczynał czuć się pewniej. Nawet tacy Ukraińcy, którzy bardzo byli daleko, chodzą na ukraińskie zabawy, *Małanki*. Młódzież chodzi dużo. Młodzi się angażują, jeżdżą na Watry do Michałowa, w góry. Przychodzi bardzo dużo Polaków na nasze *Małanki*. Teraz nie ma żadnych problemów. W tym pokoleniu jest tolerancja. Ta tolerancja zrobiła się, kiedy nastąpiła demokracja. Jest tu młody ksiądz. Przejął tę wieżę, remontuje. Młódzież w to angażuje się i mnie to cieszy.

Sen o przesiedleniu

Akcja „Wisła”. Dali rozkaz wysiedlać tych, co nie poszli do Rosji po 1945. Myśmy byli zapisani do Rosji, ale mama uparła się później, że nie pojedzie. Miała sen: szła drogą i na rozdrożu spotkała dziada ubogiego. Zapytała, gdzie ma iść i on powiedział: Czy pójdziesz w lewo czy w prawo, to będzie źle. I tak żeśmy się wycofali.

UPA

Myśmy przy granicy mieszkali, ale w naszej wiosce nie było UPA. Tam gdzieś dalej to słyszałam, że „wieczorem banda, a w dzień wojsko polskie”. Słyszałam też, jak Żydów rozstrzeliwali, bo u nas dwóch Żydów mieszkło. Tato opowiadał, że znajomy Polak mu mówił: *Jeśli masz dług u Żyda, to nie oddawaj. - A czemu? - Bo ich nie będzie.* Ale tato nie miał długu. Niby tak źle nie było jak żeśmy tu przyjechali, bo nas dali do pegeeru, nie na gospodarstwo. Najpierw rozdzielili nas w Kurowie, gdzie kto ma iść. Myśmy od razu trafili do Brzozy.

Zaopiekowali się nami, dali jakieś materiały. Jedzenia trochę żeśmy z domu przywieźli, bo mama mięsa nasuszyła. Dopiero później się zaczęło: wy Ukraińcy, wy mordowaliście. A czy myśmy mordowali? Tam byli też inni z rzeszowskiego: Bojkowie, Hucuły, jeszcze bardziej ukraiński akcent mieli, ale to nas zrównali. Myśmy się buntowali, ale to nie docierało do nich.

Nasi księża

Tu cerkwi nie było, jak przyjechaliśmy. W tej cerkiewce dzwonili na apel dla pracowników pegeeru. Była zdewastowana. Pod cerkwią piwnica była i trumny. Tam są pochowani Niemcy.

Był taki prawosławny ksiądz Poleszczuk Mikołaj. Przychodził do naszych ludzi, pytał czy chcą cerkiew, a potem do sołtysa poszedł i oddali mu ją. Jak było pozwolenie na cerkiew, to się ludzie cieszyli, bardzo dużo tutaj przyjeżdżało. Niektóre wsie się buntowały: My nie prawosławni, innego księdza jednak nie było, a nam było wszystko jedno. Jak się dowiedziałam, że w Barlinku ktoś odprawia msze prawosławne, to chcieliśmy jechać, ale nie było czym. Tam był taki

prawdziwy, ruski ksiądz, ale mówili: Tam po rusku, po białorusku, nie zrozumiecie dużo, nie ma co. A ten nasz to był Ukrainiec prawdziwy i ładnie rozmawiał. Cieszyli się ludzie, młodzież przyjeżdżała rowerami. Dla nas, dzieci nie było ważne, czy podlegamy papieżowi, czy nie. Starsi to już inaczej, ale przyjęli to w końcu jako swoje.

Księża katoliccy

Kiedyś miałam problemy z polskimi księżmi tutaj. Bo ślub brałam w cerkwi prawosławnej, no i dzieci ochrzciłam w cerkwi. Przyszedł po kolędzie ksiądz katolicki i mówi, żeby ślub poprawić. A ja mówię: Co ksiądz opowiada? Niech ksiądz patrzy tych, co bez ślubu żyją, ja ślubu nie będę poprawiać! - A to małe bobo chrzczone? - pyta. A ja mówię: Tak i od razu bierzmowane jest. No nie było innej rady, trzeba było się bronić.

Innego razu były rekolekcje polskie i rekolekcjonista mówił: Tu chodzić - do Strzelec, nie szukać tam po Brzozie prawosławnych. Chodziłam i słuchałam tych rekolekcji, ale jak to powiedział, to ciarki mi przeszły. Nie zastraszyli mnie jednak.

Młodsza córka chodziła do technikum w Sławie Śląskiej. I też ksiądz mówi, że do bierzmowania. A ona wstaje i mówi: Ja nie pójdę, bo już byłam. A on: Aha. Wiedział, wyrozumiały był. Pytam jej, czy się nie bała. Ona: Nie. Bardzo dobrze.

Byliśmy w Portugalii, Francji i Hiszpanii z pielgrzymką z Warszawy, byli palotyni i zakonnice. Dużo rozmawialiśmy. Również o komunii. Na drugi dzień ten ksiądz powiedział, że komunია będzie pod dwoma postaciami. Ja myślę: jak on to robi? Jeden stanął z kielichem wina, drugi opłatków, moczył i dawał. Oni może też się gubią.

Dialog międzywyznaniowy

Różni mądrzy ludzie powiedzą: Masz rację, trzymaj się swojego. Ja nie mówię jednak, że nie chodzę do polskiego kościoła. Bo uważam, że jest jeden Bóg. Na przykład na Drogę Krzyżową tam idę, Gorzkie Żale umiem śpiewać, mnie to ciągnie. Po prostu wychowałam się w Polsce. Uważam, że to nie jest grzechem.

Dialog międzywyznaniowy jest potrzebny jak najbardziej. Znajomy pyta mnie: Po co przyjmujesz polskich księży? Ja mieszkam w Polsce, mam sąsiadów Polaków. Ksiądz chodzi po kolędzie, to trzeba przyjąć. Jakoś nie mogę tak...

Dużo jest też małżeństw mieszanych, moja jedna córka wydana za Polaka. W święta ona idzie do kościoła, ale i zięć na Boże Narodzenie idzie do cerkwi, on sam wie.

Jak jest dobry człowiek, to jest zawsze człowiek. Nieraz mówimy: *Co ten człowiek winien, że jest Polakiem, albo ja, że Łemko? Jesteśmy ludźmi.*

Tego się już nie odtworzy

Tego się już nie odtworzy, takich wieczorów, jak się młodzież schodziła, lampa się świeciła i przędło się len. Pieśni łemkowskie sobie śpiewaliśmy, takie ładne. Albo przy koszeniu, jak szli kosiarze, kosy na ramieniu i "Razpriadajcie chłopci koni". Teraz to zanika, bo za dużo maszyn. A co my teraz stworzymy z dziećmi? Pomieszało się już.

Ja się czuję Łemkinią, bo ukraińska mowa jest trochę inna. Jak ktoś mnie nazwie "Ukrainką" to trudno. Ale my mamy, każdy w sobie, kawałek tego swojego Łemka. Jak się spotkamy, to się cieszymy. Nie mówimy: Trzymajmy się! Ale jednak czujemy, że coś się kończy...

Stefan Dzwinić, 67 lat

Pierwszy rok na Zachodzie

Wyładowali nas na stacji w Kurowie. I rozwozili na zatracenie. Mnie zostawili z częścią bagaży w Górkach Noteckich. Nie wiedziałem, gdzie mama, gdzie tato. Siedziałem na drodze, nikt się mną nie interesował. Dopiero potem znalazł mnie mój stryj Piotr, który dzisiaj mieszka w Ameryce. Jechał wozem po resztę bagaży i spotkał mnie przy drodze. Zabrał do Przyłęgu. Tam znaleźliśmy tatę i mamę. Stamtąd z powrotem pojechaliśmy do Górek. Zamieszkaliśmy w zrujnowanym domu, w cztery rodziny. Ludzie wtedy starali się trzymać w gromadzie, nikt nie wiedział, co będzie jutro, a razem zawsze bezpieczniej. Ani drzwi, ani okien w tym domu nie było, wiatr hulał po pokojach, wszystko było zdewastowane. W dwóch rodzinach nie było mężczyzn, bo internowano

ich w Jaworznie. Obawialiśmy się Polaków. A kiedy się bliżej poznaliśmy, okazało się, że oni też się nas bali: *Ukraińcy przyjechali i z siekierami do nas przyjdą.*

Początki były straszne. Przyjechaliśmy w czerwcu. Nic już nie można było zasiać, trochę siana się skosiło. Szukaliśmy starych okien, drzwi, żeby jakoś zimę przeżyć... Rodzice chodzili pomagać innym gospodarzom za ziarno. Najgorszy był pierwszy rok. Potem przyjechali przedstawiciele biura powiatowego i urzędu bezpieczeństwa. Zrobili zebranie i pomału podzielili dla każdego trochę ziemi. Każdy coś dostał. Żadnych zapomóg natomiast nie było. Z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Kurowie dostaliśmy tylko kukurydzianą mąkę.

Powrót do Kunkowej

Łemkowszczyzna to moja ojczyzna. Ten skrawek ziemi to całe nasze bogactwo. Kunkowa to niewielka wieś. Przed wojną liczyła około pięćdziesięciu domów.

W 1956 roku wróciliśmy z rodzicami w góry. Miałem wtedy 20 lat. Nasze gospodarstwo wykupiliśmy od górala Jaworskiego. Ojciec dał spore odstępne, jak za dwa dobre konie. Było sporo problemów, żeby się dawny właściciel z naszej chyży wyniósł. W tym czasie był jednak wielki ruch, przynajmniej wśród naszych ludzi z Kunkowej, żeby wrócić. Wracali i ci, których chyże ocalały, i ci, którzy nie mieli nic.

Załadowaliśmy do pociągu wszystko, co mieliśmy. Wysiedliśmy w Gorlicach, przez Ropę wracaliśmy do domu. Polacy wołali za nami: *Wściekle Rusiny wracają.* Ale my się nie przejmowaliśmy. Radość z powrotu była wielka. Potem okazało się, że nowa Kunkowa różni się znacznie od tej sprzed wyjazdu, domy w lepszym stanie zostały zasiedlone przez górali z Nowosądeckiej, a gorsze chyże rozebrano na opał.

Znowu na Zachodzie

W 1957 roku zostałem powołany do wojska. Po dwóch latach, zaraz po wyjściu, byłem drużbą na weselu brata. On ożenił się tu, na Zachodzie. Na weselu poznałem przyszłą żonę, rok później pobraliśmy się. To było w 1961 roku. I już tu zostałem. Często jeździłem w góry, bo rodzice tam zostali. Kiedy się zestarzel, brat wziął ich do Zwierzynia. Tam mieszkali do końca życia i tam zostali pochowani.

Niektórzy księża pogubili swoje owce

Mój stryj, Dzwińczyk, nie wyjechał na Zachód. Opiekował się cerkwią w Kunkowej. To była cerkiew greckokatolicka pod wezwaniem św. Łukasza. Księża rzymskokatoliccy próbowali wejść do cerkwi i odprawiać nabożeństwo. Wtedy nie mieliśmy jeszcze swojego księdza, ale rzymskokatolickich żeśmy nie przyjęli. W pobliskich Leszczynach mieszkali i Łemkowie i Polacy, i każdy chciał cerkiew dla siebie. Raz nocą włamywali się jedni i zakładali swoje kłódki, innym razem drudzy. W końcu przyjechali urzędnicy z Gorlic i oddali nam cerkiew. Kazali pilnować. W tym okresie wielu księży greckokatolickich, którzy zostali wysiedleni na Zachód, przeszło do kościoła rzymskokatolickiego. Pogubili swoje owce... Na przykład w kościele w Bobrówku odprawiał msze ksiądz z Nowicy. Kiedy próbowałem z nim rozmawiać po naszymu - uciekał, bał się. Nazywał się Poryłka. W 1952 roku przysłano nam pierwszego księdza prawosławnego. I cerkiew była nasza.

Dawne zwyczaje wielkanocne

Na Wielkanoc, na obchód wokół cerkwi zabieraliśmy *rabczała* duże drewniane kołatki. Kiedy wróciliśmy z zachodu w góry i zaczęliśmy obracać tymi kołatkami, a było nas wtedy młodych Łemków ponad trzydziestu, to Polacy chowali się po domach, bo myśleli, że strzelamy do nich z maszynowego karabinu. Dziś już *rabczania* nie ma.

W górach też, po czytaniu dwunastu *Strastnych Jewanheli*, zapalaliśmy ogniska i siedzieliśmy przy nich całą noc. Cerkiew była cały czas do Wielkanocy otwarta. Teraz już tego nie ma.

Dziś na święcone niesie się w koszyku troszeczkę kiełbasy, trzy jajeczka... A kiedyś - wszystko, co było naszykowane na święta. Pamiętam, jak nasz sąsiad, Karpiak, w ogromnym koszu i płachcie na plecach niósł poświęcić w cerkwi wszystko, co żona napiekła. Ludzie czekali też na święta, bo Wielki Post był naprawdę ścisły. Kobiety szorowały garnki i naczynia w rzece, żeby nic tłuszczu nie zostało. Nawet mleka się wtedy nie piło, a mięsa nie jadło absolutnie.

Był też wielkanocny zwyczaj, że się dzieci jajkami bawiły: podrzucały, stukały jedno o drugie. Jajka malowało się na różne kolory, służyła do tego bibuła, łupiny cebuli. Nawet atrament rozcieńczali z wodą. Ale mało kto tak robił, bo później jajka nie nadawały się

do użytku. Wzory były stare, z dziada, pradiada. I pisało się na jaskach
woskiem *Chrystos Woskres*.

Zamiłowanie do śpiewu

Mój dziadek, tato mojej mamy, był w Leszczynach diakiem, psalmistą. Nazywał się Antoni Obszarski. Ja też zawsze miałem zamiłowanie do śpiewu. Po powrocie na Zachód zacząłem śpiewać w chórze cerkiewnym. Psalmistą był wtedy Jan Potocki. Był już staruszką (urodził się w 1900 roku). I jakoś wyszło, że zostałem diakiem. Nie było innych chętnych, nie mieli głosu. A ja umiałem czytać cerkiewno - słowiański, bo mnie rodzice nauczili. Jestem diakiem od 1986 roku. Najpierw był tu ksiądz Kochan, teraz przyszedł młody. Musieliśmy się trochę dotrzeć. Przyszedł nowy, świeży. W Warszawie inaczej, u nas, w każdej łemkowskiej wsi troszkę inaczej. W Brzozie inaczej, w Ługach inaczej. Jeżdżę do Ługów na większe święta i teraz już się jakoś z chórzystkami się zgadzamy. Nic dziwnego. U nich wszyscy są z Mochnaczki, to i inne melodie. U nas, w Brzozie jest zbieranina ludzi: Żdynia, Śnietnica, Gładyszów, Kunkowa, Regetów, Brunary, Bielanka. Śpiewamy tak, jak nauczył nas Potocki. On pochodził z Brunar, w Przemyślu skończył greckokatolicką szkołę dla psalmistów. Kiedy był stary i przestał już przychodzić do cerkwi, powiedziałem mu: *Panie Potocki, wszystko dobrze żeście prowadzili, ale szkoda, że nikogo nie przygotowaliście na zastępcę*. Zupełnie inaczej niż Izydor Jacenik, który też był psalmistą. On zawsze wołał mnie do siebie i mówił: *Ja wam pokażę, co po czym ma być*. A nasz diak wszystko trzymał dla siebie. Teraz ja uczę młodego Jana Potockiego. Powtarzam mu: *Ty się teraz ucz, pomogę ci ile mogę*. Wśród młodzieży nie znajdzie się drugiego takiego. Mało kto mówi po łemkowsku, a co dopiero uczyć śpiewu. Do tego trzeba mieć zamiłowanie. To jest moja pasja.

Stary ikonostas

Cerkiew w Brzozie po wojnie stała pusta. Zbierały się tam różne męty społeczne. Był też pegeer, więc z dzwonów korzystali. Parafia powstała w 1952 roku. Założycielem i pierwszym proboszczem był ksiądz Poleszczuk. Potem byli tu księża Jaworski i Kochan. Na pierwsze nabożeństwa przychodziło bardzo wielu ludzi. Jeszcze nikt w góry nie wrócił, do Ameryki nie powyjeżdżali. Cerkiew była tak nabita, że ludzie

na dworze stali, bo się nie mieścili. I płakali ze wzruszenia, bo długo cerkwi nie mieli. Do cerkwi przyszli wtedy ci najbardziej świadomi. Potajemnie wyjeżdżali w góry, przywozili Ewangelię i utensylia cerkiewne. Starą Ewangelią chyba Dziubyna przywiózł z Regetowa. A stary Apostoł chyba Potocki podarował. Wszystko ludzie zbierali, żeby upiększyć świątynię.

Długo nie było u nas ikonostasu. Dziesięć lat temu, kiedy robiliśmy remont cerkwi, postaviliśmy ikonostas. Konstrukcję zrobił jeden z naszych, pochodzący z Regetowa, Wandzilak, dobry stolarz. Przyglądał się ikonostasowi w Ługach i zrobił podobny. Obrazy, bo to nie były ikony, ksiądz Kochan zlecił do malowania na Śląsku. Ikonostas stał kilka lat, nam się podobał. Niedawno przyjechał biskup, zrobił zebranie w cerkwi, powiedział, że ikonostas jest niekanoniczny i trzeba go wymienić. Byłem na tym zebraniu, bo jestem w radzie parafialnej, i spytałem: *Władyko, gdzie żeście byli, jak żeśmy ten ikonostas robili? A dziś przychodzicie i chcecie zburzyć to, co żeśmy ciężką pracą zrobili.* Skończyło się na tym, że ikonostas zostanie rozebrany i za pieniądze z kurii postawiony nowy, kanoniczny. To było trzy lata temu, a części ikon ciągle brakuje. Mógł tamten stary zostać...

Nie trzeba się bać

Kto jest otwarty, nie dozna przykrości. Gorzej mają ci, którzy wstydzą się swego, chowają się. Im każdy może coś palcem wytknąć. Mnie ludzie tutaj znają, od wielu lat jestem diakiem. Ponad dwadzieścia lat prowadziliśmy też z żoną sklep meblowy, jedyny w okolicy. Zawsze przyznawaliśmy się do swojego. Kiedy były nasze święta, wieszaliśmy kartkę na drzwiach i sklep był zamknięty. W czasie stanu wojennego dyrektor kazał mi powiesić kartkę, że w sklepie jest inwentaryzacja. Tak nam na rękę poszedł. Mądry człowiek nic złego nie powie. A durnemu trzeba nieraz wybaczyć, albo nie zwracać uwagi. W szkole w Górkach dzieci czasami nam dokuczały, nazywały Ukraińcami. Ale jako dorosły problemów już nie miałem. Jestem ławnikiem w sądzie. Kiedy pani prezes wyznaczyła rozprawę na siódmego stycznia, poprosiłem: *Przepraszam, ale mam święta Bożego Narodzenia.* I zmieniła termin na dziesiątego. Z sąsiadami też sobie na święta życzenia składamy. Nie trzeba się bać. Dawniej było trudniej i ludzie się nie bali, a teraz?

Szkoły w Regetowie

W Regetowie były dwie szkoły: jedna w Wyżnym, druga w Niżnym. W każdej były cztery klasy. W pierwszej i w drugiej klasie zajęcia trwały trzy godziny dziennie, w trzeciej, do której chodziło się dwa lata i w czwartej, do której się chodziło trzy lata - cztery godziny dziennie. W mojej szkole w Regetowie Wyżnym był jeden nauczyciel i jeden ksiądz - Ignacy Ryniawec. Lekcje odbywały się od poniedziałku do soboty. Uczyliśmy się między innymi języka łemkowskiego i polskiego, a po roku 1939 wprowadzono język ukraiński i niemiecki.

Cerkwie w Regetowie

W Regetowie były dwie cerkwie: greckokatolicka w Wyżnym i prawosławna w Niżnym.

Gry i zabawy dzieci

Nie mieliśmy zbyt wiele czasu na gry i zabawy, dlatego, że musieliśmy pomagać rodzicom w gospodarstwie. Musiały nam wystarczyć zajęcia wychowania fizycznego w szkole. Zimą dużo jeździliśmy na nartach i sankach, a latem na rowerach z drewnianymi kołami.

Praca

Mieliśmy bardzo dużo zajęć w gospodarstwie. Moje siostry pomagały pracować, gotować i sprzątać w domu. Chłopcy przede wszystkim paśli krowy i pracowali przy zwierzętach. Pomagaliśmy też w uprawie ziemniaków i innych warzyw. Mieliliśmy zboże na mąkę.

Chcieli mnie zabrać na wojnę, ale wtedy przez rok służyłem u księdza na plebani. Po ukończeniu szkoły pracowałem w sklepie. Pomagałem też przy niemieckich okopach w Śnietnicy i w Izbach. Po wojnie chodziłem handlować na Słowację. Zabierałem papierosy, a stamtąd przynosiłem mąkę, kwasek cytrynowy i eter. Dużo osób, także moja siostra, służyło na Słowacji.

Zachód

Wysiedlanie naszej wsi zaczęło się 15 maja 1947 roku. Miałem wtedy dwadzieścia lat. Dużo naszych ludzi wcześniej wyjechało na Ukrainę. Tydzień czekaliśmy w Gładyszowie, bo zabrakło wagonów. W Gorlicach załadowali nas do wagonów towarowych, spędziliśmy tam dwa, trzy dni. Na stacji w Oświęcimiu wypytawali nas o UPA, jednak nie zatrzymali nikogo. Podróż trwała miesiąc. Po przyjeździe przydzielili nam dom na ulicy Ludowej w Strzelcach Krajeńskich. Pomagaliśmy przy wywozie gruzu. Składaliśmy cegły. W 1948 roku pracowałem jako dekarz.

Wasył Hyra, 76 lat

Żył się wśród swoich

Urodziłem się w Żdyni. Było tam chyba trzech Polaków. Większość jednak była Łemków. Poza nami mieszkali w Żdyni też Żydzi - sześć albo i więcej rodzin żydowskich. Żył się więc wśród swoich. Wszystko było w porządku. To była tak cicha wioska, że ani od strony Gorlic nikt nie atakował, ani od strony Koniecznej. W Koniecznej był posterunek straży granicznej, to może dlatego tam się UPA nie pojawiała. Nie było tam żadnych napięć. Taka była wioska, jak u Pana Boga za drzwiami. Cichutko. Nie było żadnych aresztowań, zabijania. W czasie wojny tak samo było, z Niemcami się nic nie działo. Partyzantka polska też tam nie wojowała, to się na ludziach ze wsi nikt nie mścił. Spokojnie sobie żyliśmy. Każdy zajmował się swoją pracą.

Dwie instytucje

Była w Żdyni cerkiew greckokatolicka. I szkoła. To były dwie najważniejsze instytucje. W szkole uczyli po naszemu. Mam jeszcze na świadectwie język łemkowski. Mój nauczyciel nazywał się Kosera. Ale to było krótko. Chyba dwa lata się łemkowskiego uczyliśmy. Inne

przedmioty były po polsku. Wszystkie dzieci były łemkowskie. Jeden nauczyciel uczył wszystkich przedmiotów.

Dom na pniach

Babcia opowiadała, że jakieś pięćdziesiąt metrów od naszego dom był inny postawiony. Na pniach to stało. To ci Łemkowie musieli skądś przywędrować - z Węgier, czy skąd i osiedlili się w Żdyni przy rzeczce. Wycinali las i budowali dom. I było budowane na pniach.

Ojciec

Mój ojciec w 1939 roku był zmobilizowany. Dwóch, czy trzech chłopów z całej wioski wzięli. Przyszło powołanie do wojska i musieli iść. Ojciec służył w kawalerii. Później się dostał do niewoli niemieckiej. Wrócił. Był ranny podczas walk. Z innych wsi brali ludzi do ruskiego wojska, ale z naszej nie. Jak front się zbliżał, to ludzie ze wsi chodzili do kopania okopów dla Niemców. Ale u nas był spokój i cisza.

Wojsko

Pamiętam, jak na pogranicze przysła jednostka polska, frontowcy. Zrobili zebranie i dowódca mówił, że młodzież może wyjeżdżać ze wsi. Nie mówili inaczej, tylko że młodzież może wyjeżdżać na Ziemię Zachodnie, bo chodzi o zasiedlenie tamtych ziem. Ale wszyscy byli przywiązani do swego. Gdzie młodzież odejdzie od rodziców? Tak, jak byli przyzwyczajeni, tak siedzieli. Nie wybierali się na Zachód. Później zaczęły bandy grasować, wojować i nas wysiedlili. My nie widzieliśmy tych band. Tam bliżej Jasła może chodzili. W Gładyszowie raz chyba przeszli. Tam był posterunek milicji. Ale od strony Koniecznej było cicho. Przyszło kochane Wojsko Polskie i nas wygonili. W Wojsku Polskim służyłem po wojnie... Do Batalionów Pracy wyciągali na dodatek wszystkich, bogaty, nie bogaty. Było wtedy jeszcze przedłużenie służby wojskowej, to służyłem trzy lata. W kopalni Bytom pracowałem jako żołnierz i górnik. I trzeba było fedrować, nie było rady. A ilu zostało pod ziemią...Śmierć tam ludzi nie oszczędzała. Zawały, czy inne wypadki prawie codziennie się zdarzały. A jak przyszła zima, to się tylko noc widziało. Dzień krótki, pod ziemią czarno. Były takie miesiące, że ani jednej niedzieli wolnej nie było. Był rozkaz, dowódca mówił: *Niedziela pracująca* - nie było dyskusji. Żołnierze byli

poprzedzielani do cywilnych górników, że na każdej ścianie byli mieszkani ludzie - wojskowi i górnicy. A jak przyszła niedziela, to tych zwykłych pracowników nie było. Wojsko spędzali na jedną ścianę. W Wielisławicach wtedy mieszkałem. Tam nas przywieźli z Kurowa. Poszedłem do pracy w pegeerze i stamtąd w 1949 roku poszedłem do wojska. Z wojska wróciłem do Wielisławic i już nie poszedłem do pegeeru, tylko do POM-u. To był 1952 rok.

Co mi Polska dała?

Nad ranem przyszło wojsko, całą wioskę otoczyli, rozkaz dali... Ojciec zaprzągnął konie do wozu, dzieci na wóz i już. Co mógł ojciec wziąć na ten wóz? Babcia prowadziła krowę na powrozie do Gorlic. Wszystko zostało. Z ojcem orałem na polu, zasialiśmy. I kto zapłaci? Gdzie dzisiaj sprawiedliwość znaleźć? Tych świętych tylko w kościele pełno, co to nic nie robią, tylko się modlą. Rządzący. Co oni zrobili dla tych ludzi? Czemu nie zapłacili odszkodowań? Zabrali lasy, cały majątek. W Jaworznie tylu ludzi zginęło, w obozie. Nie rozwiązano tej sprawy wcale. Ten dekret nie został cofnięty. Ile razy wracali do tego, a jednak akcja Wisła nie została wyjaśniona. Nie wystarczy potępić. Ludziom przecież wszystko zabrano. Domy z drzewa. Zboże. Lasy. Ojciec taki piękny las miał! Wszystko zostało wycięte. I co? Żyję w Polsce, jestem polskim obywatelem, w polskim wojsku służyłem i co mi Polska dała? Babcia była dwa razy w Ameryce. Dziadek z babcią się tam pobrali. Pieniądze, które zarobili, wkładali w gospodarkę w górach. I co z tego mają? Ktoś to po prostu zjadł. A mnie najgorzej denerwuje, że się u nas tacy pobożni ludzie porobili! Tak współczuli ludziom na Bałkanach! Patrzyli, co się w Czeczenii dzieje, na Litwie, a co się robiło u siebie w kraju, z tego się nie trzeba rozliczać. To była prosta sprawa. Ta ludność łemkowska, która żyła w górach od lat, nie miała nic wspólnego z partyzantką ukraińską. UPA przyszła ze wschodu. Oni przyszli walczyć o swoją Ukrainę w te góry, żeby miejscowa ludność ucierpiała. Co Łemkowie mieli wspólnego z Ukrainą? Co nas to obchodziło? Ta partyzantka przecież nie utworzyła się z Łemków, tylko z Ukraińców. Teraz oni mają swoje państwo, a o tych wygnanych ludzi się nie martwią, czy im za to ktoś zapłacił. Dzisiaj wszystko w górach zapuszczone. Magurski Park zrobili. Osadnicy, którzy przyszli na nasze miejsce, to byli górale. Dopóki były jeszcze mieszkania jako tako zadbane, wszystko było obsiane, stały młocarnie, kieraty, młyny, to siedzieli. Ograbili i tyle. Byli parę lat i wszystko zniknęło. Jak byłem

parę lat temu w Żduni to została droga przez wioskę elegancka i tyle. Domów nie ma, tylko las. I teraz się chwala, że stworzyli Park Magurski. Dziki tam tylko grasują... Jak można zabrać czyjąś własność? Rodzice teraz już poumierali, ale żyli z nienawiścią, że im państwo taką krzywdę wyrządziło i nikt im tego nie wynagrodził.

Starsze pokolenie pamięta

Nasze dzieci są urodzone na Zachodzie. To już tak, jakby się w Ameryce urodzili. Nie u siebie. Był taki moment, nie wiem, za którego to „władcy”, można było starać się o powrót. Ale to na krótko. Nikt nie zabezpieczał, żeby można było wrócić na swoją ziemię, do swojego domu. Gdzie popadło jechali. A ludzie tylko mówili: *Aby do tej samej wioski pójść*. A czy będzie mieszkał pod szopą, tu, czy tam, poradzi sobie. No i tak mieszkali. Niektórzy się tam pobudowali. Skorzystali tylko jak rozwiązywali pegeery, ziemia została, to mieli ludzie ziemię swoją, dobierano sobie większy obszar w skupieniu. Byłem w górach parę lat temu. Po co mam tam jeździć? Na Watry, ale co tam na tę Watrę jechać? Trzy dni, dużo ludzi, szum, śpiew i wszystko. Popatrzeć na swoje ścieżki, gdzie się kiedyś chodziło? To boli tylko jeszcze bardziej - człowiek ma większy żal - żeby to było oddane. Żeby zabrali z powodu zmiany granic, to inna sprawa. Ale u nas? Od wieków jest ta sama granica, mieszka się w tym państwie, a tak człowieka potrafili wyczyścić elegancko. Starsze pokolenie pamięta. Młodzi urodzili się tutaj, na Zachodzie, zapominają.

Nie miałem żadnych zatargów

Przyjechaliśmy w czerwcu 1946 roku na Ziemię Zachodnie. Rozładowali nas w Kurowie, gdzie stanął cały transport. Przyjechały wozy drabiniaste z Wielisławic. Zawieźli nas do pegeeru w Bronowicach i tam porozdzielali. Ojciec z moim bratem poszli do Wielisławic. Rozbili nam rodzinę. W Wielisławicach stała taka buda, okienka malutkie jak w bunkrze, pierza pełno, wszystkiego, bo nikt tam nie mieszkał. Trzeba było uporządkować, pomyć wszystko. I siedzieli tam dłuższy czas. Jeszcze miałem gdzieś takie zdjęcia, co zrobił fotograf pod ścianą, to widać, co to było za mieszkanie. Mieszkali tam też Polacy. Na te tereny przychodzili różni ludzie - i z centralnej Polski, i ze wschodu, i innych części. Jak do nas ludzie byli nastawieni, nie wiem. Nie miałem żadnych zatargów. W pegeerze było kierownictwo, nikt nie

dyskutował, wszyscy pracowali, nikt nic nie wywijał, to zawsze było w porządku. Jak człowiek się wywiązuje ze swoich obowiązków, nie ma problemów. Nie słyszałem nigdy, żeby ktoś krzyczał: *Ukraińcy!* Jak już mieszkaliśmy w Brzozie i dzieci chodziły do szkoły, wtedy trochę inni dokuczali. Nieraz syn przyszedł z płaczem do domu, bo go Ukraińcem nazywali. Ale to były pojedyncze przypadki. Może w domu rodzice rozmawiali i dziecko potem było nastawione, żeby wytknąć komuś. Pracowałem trzydzieści lat w POM-ie, nikt nie miał żadnych obiekcji, nie mówił, że Ukrainiec jestem. Nikt nie robił żadnej różnicy, jeśli chodzi o narodowość. Tym bardziej mogliby niby coś mówić, bo mam takie imię. Rodzice dali mi Wasyl, to tak, jakbym metrykę miał wystawioną. Jakbym się Józek nazywał, nikt by nic nie poznał. Jak idę na pocztę z listem na przykład, Wasyl jest napisane, to od razu wiedzą, co to jest za fagas. Jak nas tu przesiedlali, to jakby cały transport pojechał ze Żduni w jedno miejsce, ludzie byliby razem - kuzyni, przyjaciele, rodziny. A władze celowo robiły tak, żeby ludzi rozproszyć. Ojca szwagier pojechał do Szprotawy. Brat pojechał do Wołowa. Inni jeszcze w inne miejsca. Jak ci ludzie mogli nie mieć żalu do państwa? To odejdzie z nami, bo młodzi, to już nie wiedzą... Po parę rodzin porozrywali na różne wioski. Jeden transport z Zagórze wysyłali do Wołowa, drugi gdzie indziej.

Chciałem żyć spokojnie

Przez to wysiedlenie, przez docenianie tych ludzi niewinnych, traktowanych tak podle, nie chciałem należeć do żadnej organizacji, czy partii. Nigdy się nie angażowałem. Chciałem sobie życie spokojnie przeżyć. Pracowałem sumiennie, nie miałem do czynienia z milicją, policją. Siedziałem sobie spokojnie.

Wyuczyliśmy troje dzieci

Syn skończył studia inżynierskie w Zielonej Górze. Pracuje w POM-ie. Drugi syn skończył technikum w Strzelcach, córka - liceum, potem była w Gorzowie dwa lata w szkole. Dobrze się uczyli. Wyuczyliśmy troje dzieci. A czy dzisiaj dałbym radę? Nie wiem. Wnuczka teraz też jest na studiach w Słupsku. Kogo dzisiaj stać na naukę dzieci, jak rodzice pracy nie będą mieli? Jedni mają pieniędzy aż za dużo, a drudzy nie mają nic. Ale zobaczymy, jak będzie, co Pan Bóg da.

I tak do nieba pójdę

Po przyjeździe na Zachód nie mieliśmy możliwości chodzić do cerkwi. Brałem z żoną ślub w Strzelcach w kościele. Każdy był tak wierzący, że gdziekolwiek szedł. Nie było cerkwi, szło się do kościoła katolickiego. Ksiądz w Bobrówku był z gór, grekokatolik. Odprawiał po polsku. Zналиśmy go, chodziliśmy do niego. Dziecko żeśmy u niego chrzcili. Nie wiem, w którym to było roku, bo byłem jeszcze wtedy w Wielisławicach, jak tu założyli cerkiew prawosławną. Kościół stał nieużywany, pusty. Kilku starszych chłopów się tu zebrało, napisali o zezwolenie na założenie parafii i je dostali. Ta cerkiew chyba była od początku prawosławną. Różnica jest taka, że kościół grekokatolicki podlega pod Rzym, a cerkiew prawosławną - nie. Jaka więcej? Nie przeszkadza mi to, że teraz chodzimy do cerkwi prawosławnej. I tak do nieba pójdę, i tak.

Wszystko się wymiesza

Jest tak: jak się Żyd ożeni, urodzi się syn, to w małżeństwie mieszanym przechodzą na stronę Żydów, jak córka, to na stronę drugą. U nas jest dużo małżeństw mieszanych. Przeszli w większości do kościoła. Jeszcze są dzieci przecież. To muszą gdzieś przejść. Na pół się podzielią? Przeciąć dzieciaka? Albo przechodzą na stronę męża, albo żony. Najczęściej przechodzą na stronę rzymskokatolicką. Wiemy dobrze, że jest przewaga, bo to państwo polskie, większość katolików. Co to jest taka mniejszość narodowa? To się wynarodowi i wcale tego nie będzie. Nie chodzi tylko o nas. Przecież dyskutują w telewizji nieraz, że niemal co czwarty obywatel w Polsce nie będzie Polakiem, tylko będzie murzyn, albo jakiś z Korei, albo nie wiadomo skąd jeszcze. Przecież masa małżeństw, co się zawiera, jest mieszana. I Łemków nie będzie. Zostanie ślad w historii. Ktoś książkę napisze i tyle. To bardzo ciężko - utrzymać coś. Tak samo z Polakami. Pokazują czasem w telewizji jakieś rodziny z Australii, czy z Ameryki, to tam dzieci mówią pięknie po polsku, znają język ojczysty. A ile jest takich co nie umieją! Nie zwracają na to uwagi. To łemkowski ma nie zaginać? Cerkiew jest w Brzozie, to miejscowe dzieci przychodzą. Ale po innych wioskach mają kościoły, to gdzie będą dojeżdżać do cerkwi? To też przejdzie. Będzie pewnie zjednoczenie - tak, jak papież mówi. Jak chcą, tak robią. To po co nam wtenczas cerkiew, kościół i wszyscy, jak będzie można się wtedy obojętnie gdzie pomodlić - czy w kościele, czy

w cerkwi, czy gdzie indziej. Będzie pojednanie, bo teraz chrzest jest ważny wszędzie. Nie trzeba drugi raz chrzcić dziecka, jak było ochrzczone na przykład w cerkwi, a rodzice potem chcieli iść z nim do kościoła. Na dzisiejsze czasy chyba innego wyjścia niż zjednoczenie, nie ma. Tak naród teraz wymieszany. Idź teraz na targowisko, ile ludzi różnych w Polsce. Kolorowi teraz są - czarne, żółte, łaciate wszystko. Jak tak wymieszany będzie naród, to już nie będzie można powiedzieć ile będzie na przykład Niemców, Polaków czy Łemków. Po wejściu do Unii wszyscy do nas przyjdą - Francuzi, Anglicy. A my - do nich. Jeszcze ze dwadzieścia lat pożyjemy, to zobaczymy, co się będzie działo. Wszystko się wymiesza, granice nam pokasują, nie będzie państwa. I nie będzie miało znaczenia, jakiej kto jest narodowości. U nas tak wypadło, że nasze dzieci pożeniły się ze swoimi. Tak trafili. Ale mam siostrę, która wyszła za Polaka. To się w rodzinie też miesza. Brat też ma żonę Polkę. Jak jest małżeństwo jak się należy, to wszystko dobrze. Najgorzej jak w małżeństwie później jedno drugiemu wytyka - *Ty jesteś Ukrainiec. - Ty jesteś Polak.* A jak małżeństwo jest zgodne, to wszystko jedno kto kim jest. Zaciera się ta różnica. Mają potem potomstwo i przechodzą na którąś stronę. I już. Przeważnie na stronę polską. Ale nic nie żal. Jak ciężko było do Ameryki się dostać. Ludzie ryzykowali, na nic nie patrzyli, na swoją mowę, na swoich rodziców, na nic. Zakładali rodziny w Ameryce i żalowali, że tam pojechali, że po łemkowsku nie mówią, bo w urzędach po angielsku trzeba. Musieli się z tym pogodzić. Ale człowiek idzie za lepszym życiem. Chce się czegoś dorobić. Wyrzeka się wszystkiego i idzie tam, gdzie mu będzie lepiej. Tylko pieniądz się liczy, nie tradycje. I tak wszystko przeminęło z wiatrem...

Jak było wesoło!

W górach nie żyłoby się nam lepiej niż tutaj. Łemkowskie rodziny są przeważnie wielodzietne. Tam nie ma żadnych zakładów. W Gorlicach, ale to małe miasteczko. To co to jest? Na tyle ludzi? Ludzie żyli na tej ziemi i ona ich żywiła. Trzeba było pieniędzy na podatek, na opłaty, ojciec jechał do lasu, ściał jodłę, czy dwie, do Żyda zawiózł, sprzedał i zapłacił. Z tego się żyło. Przecież nikt w zakładzie żadnym nie pracował. Biednie było. Ale takie były czasy. Jak słyszałem, że samochód jedzie, to leciałem zobaczyć, co to za samochód. A dzisiaj? Ten samochód by mi po prostu przeszkadzał. Daleko bym od niego uciekał. My się zestarzeliliśmy i czasy się zmieniły. Postępowy świat,

mechanizacja, telewizor... Ja byłem w górach wychowany jeszcze przy lampie naftowej. I wtedy było dobrze. Ludzie żyli z pracy własnych rąk. I jak było wesoło! Jak ładnie wszyscy śpiewali, kiedy wychodzili z krowami na pole! W niedzielę się wszyscy spotykali, na zabawach, czy tak, po prostu. I gdzie by się tam młodzież biła na tych zabawach, albo pijani żeby chodzili. Nic nie było. To wszystko wymarło. Jak przyjechaliśmy tutaj, jeszcze się schodziliśmy, chociaż nie było wolno. Był zakaz jeżdżenia po innych wioskach, zbierania się. Takie były początki. Takie było podejście, że to banderowcy przyjechali, z rogami. Jak później ludzie widzieli, że jesteśmy normalni, nikt nikomu nie przeszkadzał, to się uspokoiło. Ale te potańcówki wspólne powoli zanikały, zanikały - i już. Ja żonę miałem już w domu, to po co mi te zabawy? Mnie to nie obchodziło. Nasze pokolenie prawie się już całe pożeniło, to już nie było tego schodzenia. Nasze dzieci już tej wesołości nie miały, nie schodzili się jak my.

Rasowość mi nie przeszkadza

Oficjalnie nikt nie mówi, że to są Łemkowie. Tylko sąsiedzi wiedzą. Oficjalnie mówi się, że to Ukraińcy. Tak było i jest przyjęte. Nas wysiedlili na Zachód jako Ukraińców. A mnie tam nic nie przeszkadza. Mogą sobie mówić, co chcą. Rasowość mi nie przeszkadza. Są tacy, że za swoim nie wiadomo gdzie by poszli. Ja bym popierał tylko taką organizację, co by walczyła, żeby było lepiej ludziom, żeby się im lepiej żyło, żeby pracowali, żeby zarabiali dobrze. Ale takich, co chcą jakieś organizacje, podziały robić, nie popieram. Bo to nic dobrego nie daje. Stwarza się tylko nienawiść. Musimy przyjąć to, że jest państwo i trzeba się dostosować do niego. Jak wszyscy są w porządku to i w porządku się żyje. Wszyscy wiedzą, co się na Bałkanach porobiło. W Jugosławii tyle żyło narodowości różnych! I dobrze było. A teraz lepiej zrobili? Podzieliło się wszystko - Serbowie, Albańczycy i inni, biją się, masę ludzi pozabijali, kalek pełno i po co to było? A jak wszyscy żyli razem - zgoda była. Niech będzie Cygan, Żyd, jaki chce, grunt, że wszyscy się będą szanować, pracować, dobrze będzie. Odmienność, język, tradycja, to powinno być poszanowane, ale nie powinno być wrogości. Jak były w górach całe wioski łemkowskie, była tam jedność. Ludzie się tam rodzili, żenili i umierali. Zżyliśmy się. Najbliższy jest sąsiad. Nie jest Łemkiem, ale jest dobry. Trzeba żyć z ludźmi w zgodzie. Nikt nie szuka już swego, ono przepadło. Tego nie odbuduje nikt. Nie trzeba wierzyć w to, że to będzie odbudowane. Ksiądz chce młodych z wiosek ściągać.

I co on zbuduje? Wioskę zbuduje? No, religię dzieci poznają, ale my też chodziliśmy na religię i do polskiego księdza i do naszego. To tyle tylko, że mądrzejsi może byliśmy, bo na dwie religie chodziliśmy. To wszystko jest związane z kosztami. Kto to będzie fundował? Zespoły, spotkania - jakie fundusze są na to? Czy jakiś dyrygent chóru, czy ktoś przyjdzie, wszystko to są koszty. Kto to zapłaci? Chyba, że Unia... Pewnie, że chór by się przydał, bo by pięknie w cerkwi śpiewali, ale kto to poprowadzi? To musiałby być ktoś wyuczony. Nie wystarczy ładnie śpiewać. A skąd na to pieniądze wziąć, jak nam bieda zagląda przez okno... Codziennie masa ludzi opuszcza zakłady, pracy nie ma. Tylko szczęście, że emerytur jeszcze nie zabrali. Wszystko jest dobre, ale musi iść w parze z dobrobytem, z robotą, pieniędzmi.

Szymon Młynaryk, 72 lata

Jaworzno

Około dwóch tygodni przed rozpoczęciem się Akcji Wisła zostali aresztowani w naszej wsi ludzie, którzy więcej wiedzieli i zostali wywiezieni w nieznane. Po pół roku okazało się, że byli w Jaworznie, w byłym niemieckim obozie koncentracyjnym zamienionym na więzienie. Wielu ludzi nie wróciło, zginęli. Reszta wróciła mniej więcej po roku. Nikt nie odważył się nic powiedzieć jak tam było, co się z nimi działo przez ten czas, mieli to zakazane, bo każdy coś podpisywał, także mój wujek. Dopiero teraz, kiedy już można mówić, wiem, że strasznie ich tam torturowano. Jak wujek wrócił był strasznie wycieńczony, do tego tak spuchnięty, że wyglądał jak bałwan, po niedługim czasie zmarł.

Nasza droga wiodła przez Gładyszów

Byliśmy na samym końcu wysiedlani, gdyż nasza wioska posiadała najwięcej koni, a furmanki były cały czas potrzebne do wysiedlania innych wiosek. Kiedy nas już wysiedlali to przyjechały po nas polskie

Socjologiczny dokument

Jest to socjologiczny dokument przemian świadomości etnicznej dawnych mieszkańców Łemkowszczyzny. (...)Podstawowym atutem książki jest autentyczność.

Bardzo mało mamy dokumentów przemian kulturowych ostatnich 50 lat. Nikt już nie pisze listów ani pamiętników, a na podstawie SMS-ów przemian cywilizacyjnych opisać się nie da. Coraz mniej ludzi pamięta lata wojny, przenosiny na zachód i wniesiony tu kulturowy bagaż. Zgubiliśmy kawał własnej historii. Dlatego z takim uznaniem donoszę o książce „Z łemkowskiej skrzyni”. Jej znaczenie podnosi duża ilość zdjęć dokumentujących losy Łemków, a także dołączona do książki płyta CD zawierająca łemkowskie piosenki, portrety ludzi i miejsc.

Krystyna Kamińska „Ziemia Gorzowska”

* * *

Fakt, że relacje zbierały dzieci, odbił się na strukturze książki. Nie ma ona cech opracowania naukowego. Od rozmówców nie wymagano precyzji, nie ustalano szczegółów. Są to właściwie strzępki wspomnień, obrazy i refleksje, które dopiero złożone razem jak kawałeczki mozaiki dają wizję przeszłości.

Zachowanie pamięci, tradycji, języka, wiary nie było wcale łatwe. I nadal nie jest. Z tym problemem wciąż zмага się pokolenie urodzone już na zachodzie i pokolenie ich dzieci. Inicjatorzy tej pracy przede wszystkim chcieli młodym Łemkom dać szansę zapoznania się z bliską historią ich przodków, przybliżyć ich do własnego dziedzictwa, ułatwić zrozumienie wyborów, jakie podejmowali dziadowie. Ale warto zajrzeć do tej książki, jeśli jest się po prostu ciekawym cicho płynącego nurtu życia, które na ogół nie znajduje miejsca w poważnych opracowaniach, a jest przecież jego fundamentem.

Dorota Wysoka, „Przegląd Prawosławny”

* * *

W książce „Z Łemkowskiej skrzyni” znajdziesz dorobek Łemków, z materiałem nie mający nic wspólnego. Jest historia - inna niż uczą w szkołach, jest kultura - piękna w swej prostocie, jest umiłowanie utraconej Ojczyzny, jest wiara, która daje siłę, by tworzyć jutro, jest nadzieja, co daje przetrwanie, jest przyjazny stosunek do ludzi. Szczere wypowiedzi bohaterów przedstawiają obraz dobrego, choć naznaczonego piętnem życia, ukazują wewnętrzne piękno ludzi, dają niemalże receptę na życie: „wystarczy śpiewać i kochać...”

Dziękuję wszystkim, którzy przyczynili się do powstania książki.

Julia Doszna

Spis relacji

Anna CZAKŁOSZ	11
Anna DZWOŃCZYK	15
Anna JEDYNAK	18
Anna DZWOŃCZYK	22
Luba PAWEŁCZAK	24
Teodozja HOĆ	32
Mytro HOĆ	35
Paweł KRYL	58
Paweł MERENA	62
Ewa POPOWCZAK	73
Stefan DZWIŃCZYK	75
Szymon TUTKO	80
Wasył HYRA	81
Szymon MŁYNARYK	89
Maria MERENA	91
Piotr TUTKO	96
Ewa GLUZ	98
Ewa PUCHYR	101
Ewa KRYL	106
Ewa PELECHACZ	110
Andrzej PAWEŁCZAK	113
Elias DZIUBAK	117
Jan DZWOŃCZYK	122
Piotr HATAŁA	133
Helena HATAŁA	141
Helena MICHALCZYK	147
Andrzej GLUZ	157
Andrzej TUTKO	159
Mirosława NIEDŹWIEDŹ	162
Irena KRYNICKA	165
Jan POTOCKI	170
Maria GLUZ	174
Maria TUTKO	178
Melania POTOCKA	183
Piotr DZWOŃCZYK	184

Olga SIWIEC.....	188
Stefan ŚWIĄTKOWSKI	191
Stefan SYSAK.....	194
Stefania KUSZWARA.....	199
Grzegorz TUTKO.....	205
Magda PELECHACZ.....	206
Marek POTOCKI	208
Ksymena ZNACZKO.....	210
Irena MERENA	214
Piotr WITKO	216
Stary album.....	221

ZEMKOWS


wydawnictwo
ISBN 83-910742-9-3

Opowieści z